MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 1. WARSZAWA, 7 STYCZNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

NOWA RUŃ

WEDŁUG utartego szablonu wszystkie kalendarze przedstawiają Nowy Rok jako dziecko, lub młodzieńca, wybierającego się na wędrówkę życiową, przezwyciężanie trudności, łamanie przeszkód. Ten sam obraz staje nam dziś często przed oczyma już nie jako symbol, lecz jako fakt rzeczywisty przy ocenianiu szans wydobycia się z matni wszechstronnego kryzysu: starzy odchodzą, nie znalazłszy rozwiązania, cała nadzieja w nadchodzących młodych pokoleniach. Nie bardzo jednak zastanawiamy się nad tem, jakie właściwości owe nadchodzące pokolenia mieć powinny, żeby zadaniu sprostać, i co się robi, żeby im nabycie tych właściwości umożliwić.

Mamy dotychczas przed sobą jeden tylko potężny obraz usiłowań w kierunku zupełnie nowego wychowania całego narodu: we Włoszech. Dominującym gestem jest tam nieustanne potrącanie struny szlachetnej ambicji narodowej, wskazywanie narodowi wielkich celów i dróg, jakiemi ma kroczyć do ich osiągnięcia. Niezłomna energja dyktatora i jego współpracowników zdobyła już wiele, wysunęła Włochy na czoło narodów w dziedzinie żeglugi, lotnictwa, oddała do użytku rolnika wielkie przestrzenie zapuszczonych od wieków bagien i pustkowi, doprowadziła do tego, że dziś Włochy mogą się wyżywić chlebem, z własnych pochodzącym zagonów. Są to rezultaty, jak na pracę zaledwie jednego lat dziesiątka, zdumiewające i nic dziwnego, że obcy, odwiedzający Włochy i przyglądający się pilniej tamtejszym nastrojom, stwierdzają objawy pewnego zmęczenia. Dziwne byłoby, gdyby było inaczej. I tam również los wszystkich tych wielkich zamierzeń zależy od jakości młodych pokoleń.

Praca nad młodzieżą prowadzona jest tam nader intensywnie, tak, że obserwatora francuskiego ogarniały nawet wątpliwości, czy młodzież wytrzyma to nieustanne fizyczne i moralne musztrowanie, czy cierpliwość jej nie pęknie i nie rozsadzi więzów dyscypliny. Dotychczas te obawy się nie sprawdziły i rezultaty są podobno znakomite, zarówno co do rozbudzenia entuzjazmu, jak i sprawności fizycznej. Narastająca nowa generacja włoska ma podobno wszelkie dane, aby zadać kłam rozpowszechnionej opinji o Włochach, jako o narodzie kiepskich żołnierzy. Jest to, oczywiście, rzecz pierwszorzędnej wagi, bo gdyby nadal naród włoski wydawał tylko dzielnych oficerów, a masa była pozbawiona nerwu wojskowego, to wszelkie sny o potędze pozostałyby naturalnie snami.

Tak czy owak trzeba uznać, że zarówno osiągniete już zdobycze, jak i praca nad przyszłością jest zdumiewająca. Nasuwa się jednak pytanie, jak dalece trwała jest wznoszona budowa, czy nie runie wraz z budowniczym. Tu można mieć, niestety, duże wątpliwości. Mussolini wyszedł z socjalizmu i jak wszyscy prawie adepci tej doktryny, jakkolwiek daleko od niej później odsunięci, ciągnie, według mego zdania, za sobą pewno podświadomie materjalistyczny na świat pogląd. Reforma ustroju społecznego, przez niego przeprowa-

dzana, ma podłoże czysto materjalistyczne. Dzieli społeczeństwo na komórki, tworzone na podstawie podobieństwa pracy zarobkowej, łączone z sobą i dzielone od siebie żelazną dyscypliną ustaw. Jaki autorytet będzie to utrzymywać na czas dłuższy, gdy autorytetu dyktatora zabraknie? Nadzieja dobrobytu? To bardzo krucha podstawa, rozlatująca się przy pierwszym zawodzie. Nie wystarczy tu nawet wzgląd na interes narodu jako najwyższe dobro, bo przecież poglądy na to mogą być i są rozmaite. Dla uzasadnienia nowych, rygorystycznych form ustroju wskazuje się często na instytucje średniowiecza, bardzo krępujące wolność jednostki, a które mimo to przetrwały wieki i spełniały dobrze swe funkcje społeczne. Ale w tych rozumowaniach przeocza się zwykle w naszych czasach to, co było duszą średniowiecza, mianowicie wiarę. Jasne jest, że można było znosić wielkie ciężary i dolegliwości życia, skoro się je uważało tylko za okres próby, za przedsionek do życia wiecznego. Ten wspólny cel życia na ziemi był cementem, stanowił trwałą więź społeczną dawnych wieków. Kto chce brać ze średniowiecza formę, a pomija ducha, ten oczywiście skazany jest na niepowodzenie. A wielu jest dziś takich, jak owi esteci, którzy według znanego powiedzenia widzą w gotyckiej katedrze całe piękno, tylko nie dostrzegają tego, czemu służyła — Boga!

To jest ta sprawa zasadnicza i o niej musimy myśleć przedewszystkiem, gdy się zwrócimy do własnych naszych stosunków. Młode nasze pokolenia nie mają napewno żadnego trudu z wzbudzeniem w sobie entuzjazmu pracy dla narodu. Każdy z nas ma w duszy wiecznie uwierającą szramę naszego upośledzenia, zepchnięcia nas na drugie miejsce w ciżbie narodów europejskich. I nie potrzeba podcinać nas batem do wysiłku w celu odzyskania miejsca w pierwszym szeregu i wyprzedzenia innych. I nie zabraknie nam też napewno zdolności poświęcenia: wyjścia z bezpiecznego okopu na ogień karabinów maszynowych. Tego nie potrzebujemy się uczyć. Ale pielęgnować powinniśmy gorliwie tę zaniedbaną do dziś dziedzinę ducha, która uczy, że trudności materjalne się przezwycięża najłatwiej i trwałe dobra się zdobywa wtedy, gdy się ma w duszy świadomość nieziemskiego celu naszego tutaj istnienia. Tylko wtedy z młodej runi wyrosną kłosy pełne żywiącego chleba.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

NIEMIECKIE PRAWO CHŁOPSKIE

I

PRZEDWOJENNA karjera polityczna Niemiec kosztowała naród niemiecki bardzo dużo. Koszty te poniosła przedewszystkiem wieś, która uległa naskutek rozwoju miast bardzo silnemu wyludnieniu. Ludność niemiecka, mając możność dostatniego życia w mieście, zaczęła wieś opuszczać w katastrofalny wprost sposób i przenosić się do miast. Ruch stał się tak żywiołowym, że wsie opustoszały. Musiano się ratować polskim robotnikiem sezonowym. W mieście zurbanizowany chłop tracił swe wiejskie cnoty, a przedewszystkiem chęć do wychowywania większej ilości potomstwa. Urbanizacja odbiła się także bardzo destruktywnie i na pozostającej po wsiach ludności chłopskiej, która nadmiernie podniosła swoją stopę życiową. Rezultatem tego było częste zadłużanie się niemieckich chłopów, sprzedawanie swych majątków oraz traktowanie ich przedewszystkiem jako przedsiębiorstw dochodowych. Wszystko to wieś niemiecką rozstroiło i zdepopulowało.

Były w Niemczech i działały dość liczne sfery, które rozumiały grozę tego procesu dla bytu narodu. W pierwszych szeregach pro-chłopskiej propagandy stali tam rasiści i eugenicy, t. j. koła, stojące na stanowisku poprawy i rozwoju niemieckiej rasy. Teoretycy ruchu rasowego twierdzą, że stworzenie licznego, silnego ekonomicznie, niezależnego i wolnego stanu chłopskiego w Niemczech przyczyni się do poprawy biologicznej wartości narodu niemieckiego. Z odbudowaniem i uzdrowieniem drobnej własności ziemskiej łączy się przedewszystkiem nadzieje zatamowania depopulacji narodu niemieckiego, która takim niepokojem napełnia niemieckich przywódców. Rasiści twierdzą, że poza szlachtą niemiecką najwięcej krwi nordycznej zachowało się właśnie u chłopów. Propaganda tedy pro-chłopska, wychodząca z kół rasowego poglądu na świat, była bardzo żywa, intensywna i głęboka. Rozpoczął ją jeszcze twórca antropologji społecznej Ammon, a zakończył obecny minister rolnictwa Darré wielkiem dziełem pt. *„Das Baurntum als Lebensquell der nordischen Rasse"*. (Monachjum, 1929, str. 483)

Przypatrzmy się niektórym tezom tej propagandy. Wedle niej, uprawa roli jest podstawą germańskiego, a nawet indogermańskiego życia. Stan chłopski jest od niepamiętnych czasów związany z nordyczno-germańskim sposobem bytu. Siła życiowa rasy nordycznej leży w jej osiedleńczej zdolności, ucieczka od ziemi równa się przyłożeniu siekiery do jej pnia. Rasa nordyczna, ze swym pociągiem do ziemi, jest zasadniczem przeciwieństwem nomadów i ich życia. Nomada żyje chwilą, chłop zaś przyszłością. Nomada jest niehistorycznym, chłop zaś przedewszystkiem uosabia historję, dostarcza do niej najwięcej materjału. Chłop w odróżnieniu od nomady odznacza się organicznem ujęciem życia. Dla niego następstwo pokoleń jest najważniejszym fenomenem życia. Stąd płynie jego powaga w ujmowaniu życia, a jej przecież zawdzięczamy tę potężną zdolność działania rasy nordycznej. Z chłopstwa przedewszystkiem wychodzi moralność rodzinna, wysokie, jak u żadnej innej rasy, stanowisko kobiety, myśl hodowli człowieka, wier-

ność odziedziczonemu majątkowi oraz trwałe chołżeństwo jako czynnik utrzymania gatunku. Zmałpów nordycznych wyrosła obyczajowa norma, która każe człowiekowi każdego zawodu kłaść życie w służbie pracy i dzieła. Zarówno szlachcic jak żołnierz jest wykwitem chłopstwa. Prawdziwie militarne państwa, jak Sparta, Rzym, Prusy były to państwa chłopskie. Chłop jest istotnym i jedynym materjałem osadniczym. Stan chłopski jest jakby śpichlerzem ludnościowym dla całego narodu. Z niego rekrutują się i odradzają wszystkie warstwy i stany. Dopóki stan chłopski i średni są silne i zdrowe, dopóty jest zapewniony normalny dopływ ludzi do warstw przewodnich narodu. Chłop musi być wolny. Nie jest to bowiem dla narodowego charakteru obojętne, czy stan średni będzie się rekrutował z wolnych chłopów, czy zależnych dzierżawców, a warstwa przewodnia z wolnego i dzielnego stanu średniego, czy też z zarobkujących niewolników kapitału. Dziś nominalnie chłop jest wolny, ale bardziej cierpi od międzynarodowego kapitału i jego egzekutora w formie państwa, aniżeli dawniej od właściciela majątku, a swego pana.

Jak wiadomo, hitlerowcy przyjęli wszystkie doktryny obozu rasowo-eugenicznego. Przyjęli też całkowicie jego poglądy na sprawę chłopską w Niemczech. Jeśli się tedy mówi o nowej hitlerowskiej ustawie chłopskiej, to trzeba mieć na uwadze, że jest ona nie tylko rezultatem degeneracji wsi niemieckiej i próbą lekarstwa na nią, ale że to lekarstwo jest zapisane wedle recepty rasistów i eugeników.

II

Ustawa, regulująca stosunki chłopskie, nazywa się ustawą o dziedzicznych dworzyszczach (*Reichserbhofgesetz*) i została ogłoszona w 108 nr. Dziennika Urzędowego Rzeszy dnia 29 września 1933 r. Obszar należący do dworzyszcza nie może, wedle niej, przekraczać 125 ha, a najmniej musi mieć tyle gruntu, aby na nim mogła wyżyć i ubrać się jedna rodzina, oczywiście prowadząc jedynie gospodarstwo rolne. Dworzyszcza mogą powstawać także z podziału większej własności ziemskiej. W pewnych wypadkach mogą one być większe, aniżeli przewidziane *maximum*. Minister wyżywienia i rolnictwa może takie wyjątkowe dowrzyszcza zatwierdzać na wniosek okręgowego i krajowego przywódcy chłopów. Ustawa pozwala to czynić w wypadkach: 1) jeśli wymaga tego rodzaj ziemi albo klimat, 2) jeśli chodzi o ziemię przynależną do dworzyszcza, będącego w posiadaniu tego samego rodu chłopskiego przez czas dłuższy od stu pięćdziesięciu lat, 3) jeśli chce się uczcić czyjeś specjalne zasługi dla narodu niemieckiego, 4) jeśli ród, osiadły na dworzyszczu, stworzył tam ważne dla kultury narodowej wartości, których nie możnaby utrzymać przy rozdrobnieniu ziemi. Do dworzyszcza dziedzicznego należy zarówno ziemia, jak też bydło, narzędzia gospodarcze i domowe oraz wszelkie dokumenty, listy, obrazy i t. p. przedmioty, odtwarzające historję odnośnego rodu chłopskiego.

Chłopem czy kmieciem (*Bauer*) nazywa się tylko właściciel dziedzicznego dworzyszcza. Kto zaś uprawia ziemię wynajętą, temu przysługuje jedynie prawo do nazwy gospodarza (*Landwirt*). Chłopem może być tylko obywatel niemiecki, niemieckiej albo też równej rasowo krwi (*stammesgleich*). Nie mogą być dziedzicznymi chłopami ci, którzy mają pomiędzy swymi przodkami żydów albo kolorowych. Chłop musi być moralnym. Musi on być zdolny do porządnego gospodarzenia na dworzyszczu. Jeśli chłop nie jest godnym czci, nie potrafi dobrze gospodarzyć albo nie potrafi uiścić się z długu, który przy dobrej gospodarce mógłby spłacić, wtenczas może sąd spadkowy, na wniosek krajowego przywódcy chłopów, przenieść czasowo albo na stałe zarząd i używanie dziedzicznego dworzyszcza na żonę albo na osobę, któraby w razie śmierci dziedziczyła. Jeżeli chłop nie ma żony ani spadkobierców, albo jeśli są oni niezdatni do stanu chłopskiego, wtenczas może nawet sąd spadkowy, na wniosek państwowego przywódcy chłopów, przenieść własność dworzyszcza na inną, zdatną na chłopa osobę. Państwowy przywódca chłopów powinien wtedy jednak zaproponować jakiegoś zdatnego krewnego, o ile oczywiście taki istnieje. Dziedziczne dworzyszcze nie może należeć do większej ilości osób, nie może też należeć do obojga małżonków razem, ani do osoby prawnej. O niezdatności na chłopa rozstrzyga w razie potrzeby sąd spadkowy.

Po śmierci chłopa dworzyszcze przechodzi niepodzielnie na spadkobiercę. Dziedziczyć mogą rozmaite kategorje krewnych w następującym porządku: 1) synowie, na wypadek śmierci syna występują jego synowie i synowie synów, 2) ojciec chłopa, 3) bracia pozostawiającego spadek; na wypadek śmierci uprawnionego do dziedzictwa brata dziedziczą jego synowie i synowie synów, 4) córki chłopa, w miejsce zmarłych córek dziedziczą ich synowie i synowie synów, 5) siostry chłopa, w miejsce zmarłych sióstr ich synowie i synowie synów, 6) żeńscy potomkowie pozostawiającego dziedzictwo. Przy dziedziczeniu majątku należy zwracać uwagę na bliskość pokrewieństwa. Wogóle płeć męska ma pierwszeństwo. Nikt nie może odziedziczyć więcej jak jedno dworzyszcze. Właściciel dworzyszcza nie może niem testamentarnie rozporządzać. Po jego śmierci musi być zachowany prawny porządek dziedziczenia. Jeśli jednak w danej okolicy istniał do czasów dzisiejszych zwyczaj wyznaczania spadkobiercy, to zwyczaj ten można dalej zachować. W razie braku syna prawego, może dziedziczyć syn, pochodzący z pozamałżeńskich związków. Właściciel może także wyznaczyć dziedzica majątku, jeśli nie ma swoich dzieci, z pomiędzy innych uprawnionych do dziedziczenia osób. Pozostałe potomstwo pozostawiającego majątek musi mieć do czasu pełnoletności utrzymanie na dworzyszczu, ma otrzymać, stosownie do środków gospodarstwa, wykształcenie zawodowe oraz pewną spłatę, potrzebną do usamodzielnienia się, u kobiet posag. Spłata ta, w razie dostatecznej wysokości, może być użyta na zakupno nowej osady. Właściciel dworzyszcza ma pozatem obowiązek przyjąć i utrzymać każde z pełnoletniego rodzeństwa, mającego prawo do spłaty, w razie utraty bez swojej winy pracy. Dziedzicznego dworzyszcza nie można sprzedawać ani obciążać. W pewnych wypadkach jednak może sąd zezwolić na sprzedaż majątku. Dworzyszcza nie można także licytować z powodu należności pieniężnych, wyjątek stanowią tu zaległości publiczno-prawne. Ustawa dopuszcza wtedy zajęcie części produktów gospodarstwa, czyniąc jednakże szereg obwarowań na rzecz chłopa. Ustawa zwalnia dziedziczne dworzyszcza od wszelkich danin spadko-

wych. Ustawa wspomina pozatem o chłopskich przywódcach (okręgowy, krajowy i państwowy). Jest to, zdaje się, szczegół dotyczący stanowego ustroju Niemiec, który hitlerowcy zamierzają wprowadzić. Pozatem ustawa zawiera szereg szczegółów postępowania prawnego, w które oczywiście się nie zagłębiam. Chodziło mi tylko o podkreślenie wytycznych chłopskiego prawa w Niemczech.

III

Nakoniec kilka uwag ogólnych, dotyczących prawa o dziedzicznych dworzyszczach. Wysuwa ono na plan pierwszy instytucję, a nie człowieka. Dziedziczne dworzyszcza są pewnego rodzaju ordynacjami chłopskiemi. Prawo zrywa radykalnie z prawami jednostki na wsi. Zerwanie to przejawia się w niepodzielności majątku, w uniemożliwieniu swobodnego władania majątkiem. Majątek przestał być, wedle omawianej ustawy, własnością jednostki, a stał się właściwie majątkiem rodu chłopskiego, częściowo zaś nawet państwa czy narodu, względnie korporacji chłopskiej. Oczywiście literalnie tego w ustawie niema. Jest tam nawet mowa o własności i właścicielach. W istocie jednak rzeczy, słowo „właściciel" ma zupełnie analogiczną wagę, jak określenie „socjalistyczny" w nazwie partji hitlerowskiej. Oba te określenia są tylko nic nie znaczącemi, słownemi ustępstwami na rzecz dawnych pojęć „demo-liberalnych". Ustawa wprowadza pozatem pewnego rodzaju patrjarchalizm, czy też raczej maskulinizm w gospodarcze i prawne stosunki wsi. Daje ona także możność tworzenia pewnego rodzaju arystokracji chłopskiej, dopuszczając tworzenie większych majątków, aniżeli ustawowe *maximum*. W dziedzinie zaś gospodarczej uniezależnia chłopa całkowicie od rynku, pieniądza, spekulacyj, cofa go prawie w czasy gospodarki naturalnej. Zapewnia mu jednak opiekę państwa. Uwidocznia się to zwłaszcza w rozporządzeniach wykonawczych. Pozatem otrzymuje chłop, przez swą stanową organizację, pozycję społeczno-polityczną tak silną, jakiej bodaj nigdy i nigdzie w dziejach nie posiadał.

Od czasu wprowadzenia w życie ustawy, zatwierdzono podobno powyżej pół miljona dziedzicznych dworzyszcz. Jest to może największe dzieło rewolucji narodowej w Niemczech. O jego rozmiarze, zasięgu i konsekwencjach może nas pouczyć porównanie z rosyjską kolektywizacją. Niemcy nietylko dokonali swej rewolucji agrarnej niesłychanie szybko, ale przeprowadzili ją naogół nie wbrew chłopu. Podobno reforma hitlerowska spotkała się z bardzo dobrem przyjęciem przez chłopów niemieckich. Jest to zupełnie zrozumiałe. Daje ona bowiem już dziś, a może też i tylko dziś, bardzo duże i uchwytne korzyści właścicielom dworzyszcz. Już samo wprowadzenie przepisu prawa, na mocy którego dworzyszcza nie podlegają za należności prywatno-prawne egzekucji, jest w oczach chłopa, zgnębionego rozmaitemi nakazami płatniczemi i zapadającemi ratami długów, warte tych ograniczeń, które ustawa wprowadza.

Konsekwencje ustawy trudno jest dziś przewidzieć. Czasem rzecz nawet bardzo dobrze pomyślana nie wydaje tych skutków, o jakie ustawodawcy chodziło. Dzieje się to zwłaszcza tam, gdzie u źródeł jakiegoś poczynania tkwi zadużo doktryny. A tu właśnie mamy klasyczny tego rodzaju wypadek. Dzisiejsza ustawa chłopska została pomyślana jako nawiązanie do starogermańskich tradycyj ustroju rolnego. Trudno zaś przypuszczać, aby to odpowiadało dzisiejszym warunkom życia i rozwoju społecznego. Nową rzeczą w tej ustawie jest zwarta, korporacyjna organizacja. W niej też należy upatrywać bodaj największe korzyści. Już jednak ograniczenie własności prywatno-jednostkowej może dać zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak też ogólno-cywilizacyjnej pewne niedomagania i szkody.

Nie wolną będzie od nich także biologiczna wartość narodu. Wiemy przecież o tem z polskich badań nad wzrostem, omawianych przez Czekanowskiego, jak to w Kongresówce uwłaszczenie wpłynęło dodatnio na wzrost naszych poborowych. Czy zatem dzisiejsza ustawa chłopska w Niemczech nie da na długiej przestrzeni czasu pogorszenia biologicznego narodu, z powodu właśnie ograniczeń prywatnego władania ziemią? Jedna rzecz jest z punktu widzenia biologicznego niewątpliwie dobra. Jest nią wyróżnianie mężczyzn przy dziedziczeniu. Naskutek tego dziewczęta, mające tylko spłaty, nie będą się bardzo różnić pod względem majątkowym pomiędzy sobą. Wobec tego odpadnie pogoń za majątkiem dziewczyny, a większej ceny nabierze osobista wartość biologiczna kandydatki na żonę.

Nie tak już optymistycznie trzeba się patrzeć na najbardziej przez twórców prawa spodziewane zwiększenie się przyrostu naturalnego u ludności chłopskiej. Na dworzyszczach ciąży bowiem obowiązek wykształcenia i wyposażenia dzieci niezaopatrzonych oraz obowiązek przyjęcia ich w razie utraty pracy. Ciężar ten może być tak poważny, że rezultatem ustawy może być poprostu stabilizacja systemu dwojga dzieci: Jedno z nich przeznaczy chłop na odziedziczenie dworzyszcza, drugie zaś na wydanie go za mąż za sąsiada. Pozostałe dzieci przecie nie przyniosą mu pożytku w gospodarstwie, tylko narażą na duży wydatek pieniężny. Tak więc rachuba na zwiększenie przyrostu naturalnego i stworzenie wewnętrznej prężności populacyjnej może zawieść. Hitlerowcom może się nie powieść doprowadzenie stosunków niemieckich do tego, aby rzeczywiście Niemcy stały się narodem bez przestrzeni.

Pomijając jednak wysunięte powyżej zastrzeżenia, trzeba stwierdzić, że jest to godna uwagi i wielka próba społecznej naprawy Niemiec. Jest ona w stosunku do niedawnego stanu niemieckiej wsi daleko idącym postępem. Być może, że będzie z nią tak, jak z rosyjską „piatiletką", t. j. że uda się tylko częściowo. A dużo wspólnego mają z sobą obie akcje w swem nastawieniu. Obie one mają ambicję szybko stworzyć brakujące obu narodom organy społeczne, jakkolwiek tak przemysł jak chłop nie są to rezultaty rewolucji i jednorazowego natchnienia. Jeśli nawet rezultat będzie tylko częściowy, to i tak przyczyni się prawo o dziedzicznych dworzyszczach bardzo poważnie do odrodzenia niemieckiego narodu.

Nakoniec jeszcze słówko *pro domo sua*. Obawiam się trochę, żeby u nas nie zaczęto myśleć o zbytniem skopjowaniu niemieckiego prawa chłopskiego. Tutaj chciałbym zwrócić uwagę tylko na jeden moment. Nasza sytuacja społeczna jest zupełnie inna od sytuacji niemieckiej. Niemcy muszą

pod groźą zatraty narodu zrobić odwrót od urbanizacji ludności i stąd przedewszystkiem powstało natchnienie do omawianego prawa. Polska zaś musi raczej więcej się zurbanizować i spolszczyć przytem miasta. To właśnie zrozumienie musi stać u podstawy wszelkich reform społecznych u nas.

Chłopska ustawa niemiecka postuluje u nas jeszcze jedną sprawę. Sfery rządzące Polską, bez względu na to, czy to będzie „sanacja", czy też obóz narodowy, muszą się bardzo poważnie zająć dolą chłopską w Polsce. Musi się zużyć wiele przyjaznej i lojalnej w stosunku do chłopa energji, aby nie musiało się rządzić przeciwko wsi. Bo trzeba wiedzieć, że mimo wszystkich moich zastrzeżeń, niemieckie prawo chłopskie jest dla chłopa na bliski okres korzystne i pociągające. Istnieje więc dość poważne niebezpieczeństwo obudzenia się sympatyj filo-niemieckich na naszej wsi, analogicznych co do swej istoty społeczno-politycznej do sympatyj komunistycznych w warstwie robotniczej. A sympatje te byłyby bardzo niebezpieczne. Już dzisiaj w prasie ruskiej spotyka się pełne uznania wzmianki o niemieckiej reformie. A przecież Rusini to najbardziej w Polsce po chłopsku czujący i myślący odłam ludności. Sympatje te mogą się łatwo obudzić i u polskich chłopów. Ale gdyby się ograniczyły one tylko do chłopów ruskich, to i tak byłaby to groźna rzecz. Nie bardzo się bowiem należy obawiać nacjonalistycznej i separatystycznej agitacji ukraińskiej, jeśli chłopu ruskiemu będzie się żyło dobrze. Masy te przeciw Polsce może jedynie naprawdę poważnie zwrócić zwycięstwo przeciwchłopskiego programu u nas. Przecież cały ukraiński ruch polityczny zbudowany został przedewszystkiem na kwestji społecznej. Długi czas szeregował się chłop ruski pod sztandarem hasła „lisy i pasowyska". Dziś, kiedy naskutek reformy rolnej właściwie nie stało już pańskich lasów i pastwisk, mógłby chłop ruski lojalnie i spokojnie żyć, byle tylko w Polsce mógł wogóle po ludzku żyć chłop, jako taki.

KAROL STOJANOWSKI

WZÓR POEZJI JUDEO-POLSKIEJ

PIERWSZY zbiorek młodego i „obiecującego" poety zaczynał się od strof, poświęconych muzie czarnoleskiej:

„Muzo, co bólu nic nie skąpisz,
jak życiu Bóg nie skąpił śmierci,
pozwól mi śpiewać zieleń Dąbi,
a w czas gorąca cień żołędzi".

Motywy przyrody: dębu i żołędzia, autor wprowadził jakąś niepewną ręką; zdaje się, chciał im nadać formę przymiotnikową... Następna zwrotka zaznajamia nas z uczuciem patrjotycznem poety:

„Pozwól mi, Panno, poznać siebie,
miłować świętą polską mowę,
być, jak to ziarno w czarnej glebie
i złotem słońcem nad Krakowem".

Zapamiętajmy sobie te śluby, mową Kochanowskiego składane. Poeta zakwaterował się nawet w Czarnolesie — w modrzewiowym domu i tu czeka na przybycie Hanny. „Żniwiarki" — powiada — „naostrzę na twoje to przyjście"... Myślał pewno o sierpach. „Żniwiarzom" — powiada — „potrójną dam dzisiaj zapłatę, po trzykroć wygonię na pola bezkresne rumaki zażywne i krowy łaciate". Biedne krowy, po trzykroć gonione, dobrze się jednak wypasą, przynajmniej poeta obiecuje sobie, że „tryśnie tłuste mleko z szczykających dójek". Dosłownie: „szczykających", ale motyw znowu niepewny, bo dójką nazywamy kobietę, która doi...

Motyw krowy często w zbiorku tym się powtarza:

„Obora pewnie kryta, parskająca stajnia,
świętego obornika żywiczna pasieka,
w skopcu bulgot śnieżysty spienionego mleka,
wydanego obficie z wymion urodzajnych..."

Krowy są według niego „obłe", skoro dobrze odżywione, a „żywicą" jest wszystko, co pożywne dla życia, więc i obraz zboża (= pole), nawiezionego „żywicą łajna" sprawia mu satysfakcję poetycką; obornik (nawóz) jest święty. Poeta zna się z „obornikiem" i mleczywem po gospodarsku, może tylko merkantylnie, jak to w „pachcie", ale że daleko mu do kongenjalności z [kmieciem polskim i z Kochanowskim, dowodem to, iż poznawane rzeczy wiejskie grają na nim fałszywemi słów klawiszami. Gdy szczelinę (pęknięcie) w ziemi nazywa „rozworą", to widzimy, że wozem już mniej się interesował, niż nawozem.

W każdym razie wiersze te świadczą, że pisarz chciał być poetą polskim, wkorzenionym w polską ziemię, przynajmniej w obornik, w polską pracę, w polską twórczość. Pod czarnoleską widzimy go lipą, pijącego miód, albo — co pewniejsza — mleko.

Poetą tym jest p. Roman Brandstaetter. Zbiorek, o którym wyżej, ukazał się w druku w r. 1928.

— — — — — — — — — — — — —

Młody izraelita uległ czarowi kultury polskiej w Krakowie; studjował polonistykę; za przykładem młodzieży polskiej, próbującej pióra, zaczął, jak widzimy, pisać wiersze, wżerające się w „rzeczywistość polską". Tego pędu pożyczył sobie od aryjskiego otoczenia, ale wyróżnić się musiał od niego jako artysta specyficznie semickim rodzajem wyobraźni zmysłowej. W poezji poznaje się żydów po tem, że wszystkie ich metafory są mięsiste, wilgotne, lepkie, soczyste, woniejące i smakowite. Pochodzi to stąd, że wyobraźnia żydowska w stanie pierwotnym, póki się nie zintelektualizuje, ma do dyspozycji w obrazowaniu materjał, dostarczany przez zmysły najniższe: dotyku (skórny i mięśniowy), smaku i węchu, lub kombinowany z tych trzech źródeł. Dla poety, o którym mowa, woda np. jest „rtęcista" (od rtęć), malując żywioły widzi, jak „ścieka bursztyn na ziemię lepką strugą żywicy", w lesie „chojary pachną słodko tłustym żywicy obarem (?)", drwal w lesie „żyznym potem tężyzny sapie w zapale", piła „miąższu przecina żyły", sosny „wyciągają żywność z gleby", pole nawozi się „żywicą łajna", ziarno „z zardzewiałej ręki"

siewcy wraca w „szorstki żywot“ „potniejącego gruntu“, krowy spoczywają na „mokrej, miękkiej trawie wyswobodzone od nadmiaru mleka, błyszczące potem, co z wonnej skóry ścieka“ i „z rozkoszą toną w woni własnego mięsiwa“ i t. d. Po tej właściwości można rozpoznać rasę poetów, którzy zmienili nazwiska na słowiańskie.

Przeszła jednak moda na bukoliki; p. Brandstaetter w r. 1931 wydaje zbiorek sonetów p. t. „Droga pod górę“. Przechyla się tutaj w stronę życia wewnętrznego i, szukając swego ja w przyrodzie, pasuje się z melancholją. Paleta i w tych sonetach soczysta zmysłowością dotyku, smaku i węchu; barw żadnych. Przykład:

„Gdy mi w sadach wrześniowych chłodne mroki ścielą,
A woń w nozdrza uderza i bije do skroni,
Wyczuwam krągłość jabłka pod dotknięciem dłoni,
Cierpkość jego smakując równych zębów bielą“.

Potrochu, wglądając w siebie, rozpoznaje w sobie skłonności własnej rasy. O tem, że jest żydem, nie pozwala mu zapomnieć coraz żwawiej organizujące się środowisko żydowskie. Pracując jako polonista nad Mickiewiczem, zatrzymuje uwagę na inicjatywie jego w sprawie żydowskiego legjonu. Zdarzenie to staje się przedmiotem rozprawy historycznej młodego pisarza p. t. „Legjon żydowski Mickiewicza“, drukowanej w „Miesięczniku żydowskim“. Posługując się Mickiewiczem dla uwydatnienia rycerskiego romantyzmu żydów, nieopatrznie potrącił o zagadkę śmierci Mickiewicza, co dało podstawę Boyowi do oskarżenia Zamoyskiego Władysława o zbrodnię otrucia. Brandstaetter się wsławił, ale też naraził się współwyznawcom, którzy bynajmniej nie pragną poruszania sprawy śmierci Mickiewicza. Sprawca awantury, znalazłszy się w krzyżowym ogniu dyskusji polsko-żydowskiej, musiał się zdecydować na stanowisko: jest że Polakiem czy żydem? Sam siebie musiał o to zapytać.

— — — — — — — — — — — —

Zanim do tego doszło, a mody w duszy żydowskiej następują szybko, ukazał się nowy zbiorek poezyj Brandstaettera p. t. „Węzły i miecze“. Z wierszy tam zamieszczonych widać, że autor już był się zapuścił głęboko we wnętrze duchowości polskiej. Nęciły go już świętości polskie. Zaczął od wsi polskiej, przeszedł do Mickiewicza, a potem zagłębił się w zagadnienia dogmatyczne katolicyzmu. Penetracja żydowska w głąb cudzego organizmu duchowego narodu, nawet gdy odbywa się za popędem ciekawości i głodu, nigdzie nie zatrzymuje się dłużej; przytem zawsze ma w sobie coś drapieżnego, jakbyś igrał z oswojonym drapieżcą. Poprostu dusza żydowska nie znajduje dla siebie dogodnego miejsca w łonie cywilizacji aryjskiej, niszczy każdy przytułek, dolega i uchybia świętościom.

P. Brandstaetter, leży to w jego naturze, — nie zatrzyma się u wrót kościoła; on odrazu sięga ręką do wielkiego ołtarza; gospodaruje. Ciekawy był katolicyzmu, studjował, jak widać, podobno miał zamiar przyjąć katolicyzm, ale — oto — jaki czyni z wiedzy użytek: Oto anioł

„Skrzydłami zaszeleścił pod gwiaździstym stropem
I nad cieśli niewiastą krótko zakołował;
Anioł, promieniejący światła szklanym snopem,
Samotnie jej doznawał i słodko smakował...“

Kończy się zaś sonet:

„A oddając swe serce bezwolnie, lecz wiernie,
Uczuła na swych wargach chłodny smak goryczy,
Krzyż pomiędzy biodrami, a na skroniach ciernie“.

Dalej następuje Golgota, potem św. Piotr, którego autor nazywa swoim przyjacielem. Wogóle w kulcie Chrystusa czuje się, jak u siebie, widocznie się wzrusza, skoro Bóg staje się motywem jego uniesień poetyckich, a przecież jest bez pokory i drapieżny. Nie przyjdzie mu do głowy wzgląd, że jest w cudzym domu i że tyka świętości. W wierszu p. t. „Francja“ pozwala sobie cynicznie na typowo żydowską nachalność względem Joanny D'Arc. W wierszu tym p. Brandstaetter „czuje na swojej dłoni ostatni uścisk Joanny D'Arc. Na ustach stygnie ciepło jej ust i gorycz jej ciała“...

„Grzechem jest nawet woń twych warkoczy,
Twe wargi bolą. Miłość to grzech...“

A dalej zapowiada „Świętej Joannie“, że czeka ich oboje śmierć:

„I oto wkrótce płomienie groźne
Pod nasze ciała ciepłe i zdrożne
Podłoży zwolna czerwony kat“.

To, że piszę o tych paskudnych wybrykach pióra, popełnianych na rachunek poezji polskiej, nie znaczy, bym to robił z potrzeby krytyki literackiej. Nie, to jest dokument okazany dla celów publicystycznych. Oto próbka, co się robi z kulturą polską, gdy jej korzeń podgryza czerw. Oto poezja „niepodległej Polski“!

Powiem tutaj rzecz arcyzabawną. „Myśl Narodowa“ ma proces, wytoczony przez p. Brandstaettera o zniewagę (tak opiewa akt oskarżenia), że St. Pieńkowski w jednym z artykułów śmiał wyrazić przypuszczenie, iż p. Brand. kiedykolwiek miał zamiar przejść na katolicyzm. W Polsce jest zniewagą powiedzieć o kimś coś podobnego. Ale w takim razie cóż znaczyły owe studja katolickie i wzruszenia poetyckie, o których wyżej była mowa? Więc to było tylko „tak sobie“, mimochodem? Nikt miarodajnie nie upomniał się o zniewagę naszych ołtarzy, odwrotnie, — pisarze polscy będą odpowiadali sądownie za znieważenie żyda, że pomówili go o poważne zainteresowanie się katolicyzmem. On bowiem nie studjował katolicyzmu; dotarł do świętości, tylko by się z nich naigrawać.

— — — — — — — — — — — —

Pod koniec r. 1933 p. Brandstaetter — pomimo wytoczonego procesu — zaszczycił nas upominkiem w postaci nowego zbiorku poezji p. t. „Królestwo trzeciej świątyni“ (z datą 1934). W książce tej swawolny żydek już się żegna z muzą Czarnoleską. W r. 1928 składał jej śluby.

„Dziś wiem, o dziewczę słodkie o błękitnych oczach,
Wiotka, polska panienko z czarnoleskich polan,
Że dłoń moja nie spocznie na twoich warkoczach,
A śmierć mnie nie zastanie u twych smukłych kolan“.

Nie dba, czy „polska panienka“ tem się zmartwi“ i blaguje dalej:

„A od tej chwili spokój znajdę w srebnej mowie,
Boleścią mych praojców i ich krwią drgającej“,

I cieniem mnie owieje niepolskie sitowie,
Ni zasmucą brzeziny, ni włochate kłącze.
Lecz nagle się ulotni parny oddech kniei,
Jak z palców nieostrożnych roztarta woń róży,
Gdy pod gwiezdną kopułą białej Galilei
Uczuję śmierć, rosnącą w mej żydowskiej duszy.
Wówczas ponad krwi mojej najbujniejsze bicie,
Ponad drżenie twych piersi i bielutkiej dłoni,
Droższe będą mi palmy, muły i winnice
I ciężki zapach siana, bijący z kolonji".

Adje!... Jedzie do Palestyny, „uwożąc z sobą" — jak powiada — „zapach warg polskich" muzy czarnoleskiej. Ale mu nie wierzymy. Po co ma jechać? On tu zostanie, będzie bluźnił Polsce, prowokując serce „sanacji" pieśniami na cześć nowej (od lipca 1933) ojczyzny. To nowa już, prawdziwa (pod „chajrem") ojczyzna; ma tutaj dla odmiany ten donżuan olimpijski „śniade ramiona, toczone jak kość słoniowa". Muza żydowska „dłonie ma słodkie, jak owoc hebrajskiego granatu" i t. d. „Oj czyzno moja Cedrowa i moje państwo hebrajskie!" — woła obywatel państwa polskiego, polonista, poeta polski; ma już dwa państwa!

Ale w Polsce pozostanie i walczyć będzie wymową swych plwocin w „Opinji", „Nowym Dzienniku" — z nacjonalizmem polskim, odmawiając Polakom prawa wolnego tworzenia swej ojczyzny i wołać będzie do współplemieńców swoich:

„Jeżeli nie wierzysz w państwo hebrajskie
I w sześcioramienną gwiazdę Dawida...
Jeżeli będziesz skąpił krwi twojej
Na nawóz pod ojczyste winnice —
Przeklęty będziesz...
Bóg naznaczy zgubą cokolwiek dotknie twoja ręka,
Uderzy w ciebie febrą i chamsinem, skwarem i mieczem...
Jedną drogą ciągnąć będziesz przeciw wrogom twoim,
A siedmioma drogami uciekać będziesz przed ich mieczem..."

Pozostanie w Polsce. Będzie rejestrowany jako pisarz polski. Będzie rozstrząsał nasze dzieje, drwił z naszych ołtarzy, kształcić będzie dzieci polskie, doradzać ministrom, jak należy uczyć w szkołach literatury polskiej, stanowić będzie o nagrodach i hierarchji w literaturze, ba — będzie pisał artykuły wstępne w dziennikach politycznych, szczuć będzie głupich gojów na młodzież polską, na chłopów polskich. Spotkamy go wszędzie, gdzie będzie spisek na cywilizację polską, spotkamy go jednocześnie przy każdej licytacji na radosną twórczość państwową.

ZYGMUNT WASILEWSKI

MONOGRAFJA O JACKU MALCZEWSKIM

KSIĄŻKI Heydla o Malczewskim nie należało potraktować jako nowości wydawniczej, o której się pisze na świeżo, na to, by do niej nie wrócić [1]). Wręcz przeciwnie, jest to książka, do której się chętnie myślą nawraca, nieraz także i na to, by się z autorem nie zgodzić. Mogą w niej być spostrzeżenia sporne, nieraz nawet wyzywająco sporne: są one wszystkie sformułowane śmiało, wyraziście, czasem z junactwem niespecjalisty. To jest właśnie w tej książce najmilsze. Właśnie dzięki temu, że nie celebruje zawodowej specjalności, aż bucha z niej życie.

Jeżeli tu właśnie, na samo czoło tych uwag, wyprowadzam stwierdzenie tej „niefachowości" autora, to po pierwsze dlatego, że się sam z niej w swej przedmowie tłumaczy, a powtóre, że takich właśnie prac potrzeba nam w Polsce jak chleba.

Jeśli tylko okiem uważnem rzucić na ruch wydawniczy w takiej Francji i u nas, odrazu się spostrzega mnóstwo takich pozycyj tam, a ich niedobór u nas. Bodaj więcej nawet od przykładu Niemiec, działała tu jakaś mikromanja polska. W świadomości swych jakichś niedociągnięć kulturalnych, autor polski zazwyczaj chce nadrobić, broń Boże nie miną, ale właśnie gruntownością naukową. Byle dużo przeczytać, byle się do syta nacytować, byle dać poznać, że się swój przedmiot do cna poznało i nawet przenicowało. Wyrasta z tego nieraz dzieło surowe i poważne, ale niestrawne i najeżone. Traci na tem czytelnik, a rykoszetem, także artysta, czy poeta, o którym była książka.

Jest w tem snobizm, a w tym snobizmie wysokie niebezpieczeństwo nieledwo społecznej natury. Nie wolno w naszych opłakanych warunkach wydawniczo-czytelniczych tracić czytelnika w imię niedostępnej fachowości. Prawdziwie kulturalna atmosfera panuje tam dopiero, gdzie są książki obu typów, książki wyczerpująco-naukowe i książki bezpośrednio-syntetyczne, rozmawiające z czytelnikiem jego językiem o najtrudniejszych rzeczach.

Uwagi poniższe dotyczą i sztuki i literatury. Gdzież u nas są prace typu Jules Lemaître'a czy nawet Fagueta? Gdzie wydawnictwo w rodzaju *„Grands Ecrivains Français"*, publikowanego przez Hachette'a, w którem na stu stronach małego formatu można nieraz znaleźć najświetniejsze syntezy o największych autorach, syntezy przeznaczone dla przeciętnie wykształconego czytelnika? Zaiste, tą drogą dopiero można tego czytelnika dźwignąć, tą tylko drogą zapośredniczyć między nim, a autorem trudnym czy starym.

Zresztą myliłby się ten, ktoby sądził, że taka książka popularna, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, musi być niższogatunkowym prodromem. Może ona być znacznie znakomitszą w cenie, znacznie cięższą gatunkowo od niejednego tomiska, którego się czasem wagę w gramach zestawia w spisach bibljograficznych.

Książek takich, wartościowych a nienajeżonych dostarczyć mogą kulturalni specjaliści, ale też i kulturalni amatorzy. Specjalista patrzy czasem zbyt blisko na swój przedmiot, i daje przez to czytelnikowi wrażenie krótkowidztwa. Nieraz mu trudno odejść wgłąb, zajrzeć z boku, spojrzeć z wysoka. To wszystko potrafi kulturalny i utalentowany amator. I zaprawdę zdarzyć się może, że mądry specjalista zaciągnie niejeden dług wdzięczności u takiego amatora, o większej świe-

[1]) Adam Heydel, „Jacek Malczewski, człowiek i artysta". Książka wyszła przed rokiem. Pierwsze zdanie niniejszego artykułu jest więc czemś w rodzaju wykrętnego *mea culpa* za jego opóźnienie. Książka wyszła nakładem zasłużonego „Wydawnictwa literacko - naukowego". Jego kierownik, p. Wojciech Meisel ma tę wielką zasługę, że w dzisiejszej dobie płycizny i tandety, wśród bardzo ciężkich warunków, wydaje same pozycje wartościowe. Przypomnijmy tu tylko zbiorowe wydania Kasprowicza (Kołaczkowski) i Orkana (Pigoń).

żości wrażenia i większem natężeniu bezpośredniości.

Po tym przydługim wstępie — takbym pragnął nie musieć go pisać! — wyznaję już z całą naiwnością, że mnie ciarki ogarniają na myśl, coby o takim Jacku Malczewskim mógł napisać zawodowy historyk sztuki! Uważam, że mamy prawo oczekiwać po naszych fachowcach naukowo-historycznych studjów o Malczewskim, z którychby kiedyś wyrosła jego monumentalna biografja. Ale tymczasem niechaj się wolno nam będzie radować, że Heydel napisał taką właśnie, a nie inną książkę o umiłowanym przez siebie artyście.

Nawiasem powiedziawszy, ponieważ nasz autor jest przebiegły i bogaty w zasoby, postarał się o to, że jego książka przynależy trochę do obu działów. W całej swej pierwszej części, poświęconej młodości Malczewskiego, operuje oto Heydel niewydanemi materjałami biograficznemi, których mu dostarczyły archiwa rodzinne. Stąd aż nazbyt nieraz forsowne naszpikowanie dokumentami całej pierwszej połowy dzieła: króluje tam wszechwładnie tekst i dokument, za któremi ukrywa się czający się do przyszłego skoku nasz esseista. Zato w części drugiej, jego pasja esseistyczna wybuchnie ze zdwojoną siłą, tak w entuzjazmie do swego bohatera, jak i po części w nieuświadomionej autocharakterystyce samego krytyka.

Z tej „janusowości“ dzieła wynikła zapewne jego pewna nieharmonijność układu. Ale bywają takie wady, które dziełu tylko życia przydają. Od tego jest życie, by były w niem światła i cienie.

Papiery rodzinne młodego Jacka i jego korespondencja z ojcem są prawdziwem znaleziskiem dokumentowem, ilustrującem nietylko biografję artysty, ale wręcz życie polskie na wsi radomskiej, w dworku szlacheckim, wtedy, kiedy w stolicy ważyła się walka pozytywizmu z romantyzmem. Na wsi, między niebem a stawem, dla pewnych natur wybranych, niema miejsca na płyciznę, na drobną monetę. Tam wszystko rośnie pod niebo, pod kopułę nieba i odbija się w wodzie, w stawie, ba, w każdej kałuży na wyboisku. Coś mistycznego dzieje się w tem wiecznem krążeniu oka po umiłowanych bezkresach równiny, z niebieską, a czasem szarą kopułą jako stropem.

Ileż tam kultury tłucze się w tych latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych ubiegłego wieku, w takich dworkach polskich! Taki Juljan Malczewski, *bene natus*, ale z biedą za pan brat, bez środków materjalnych na wywczasowanie, a jednak czyta i dużo i mądrze. Zna malarstwo włoskie, literaturę francuską, pławi się w Słowackim. Tak, stąd to właśnie rozmiłowanie Jacka w „Anhellim“: od florenckiego arcytworu poezji Słowackiego droga do krakowskich dzieł Jacka biegnie poprzez Radom i wieś radomską...

Juljan Malczewski, Apollo Korzeniowski, inne strony, ileż różnic, ileż podobieństw... Któż nam wykreśli, pokaże przekrój życia polskiego w kraju, w czasie Wielkiej Emigracji, i po niej, w czasie tułaczki tamtych emigrantów z 1863 roku?

W takiem otoczeniu, wśród takich ludzi, wśród zmory po-powstaniowej, wśród pociech Anhellego, wśród mocy ożywczej, idącej z równiny radomskiej, rośnie Jacek, zanim nie wydostanie się do Krakowa. Sam to określi wierszem:

„Wyraz Polska wciąż wpadał mi w ucho,
O Niej wciąż była rozmowa,
Nią ciągle byli zajęci.
Czy to była ich myśli królowa?
Czy też oni nie byli Jej święci?

Więc słuchałem czy kłos
Imię Polska, trącany o drugi, nie wypowie...“

Zagadkowy jest ten rytm tak „wyspiański“ tych prostych wierszy!

W Krakowie oczekuje Jacka i nas rewelacyjna jego przyjaźń z guwernerem — Adolfem Dygasińskim, oraz walka z Matejką, coś w rodzaju walki z aniołem, walki o siebie, o swoją oryginalność genjusza. Aniołem jest tu oczywiście Jacek sam, wyrywający się w swoją drogę. Ale Matejko był tym, który go odgadł, do ojca pisał, radząc nie krzyżować karjery syna. Może nikomu tyle nie zawdzięczał Jacek, co Matejce.

Nie możemy tu nadążyć za bogactwem cytowanych przez Heydla źródeł: dla ilustracji stosunków krakowskich z lat 1875-ych, otoczenia i roli Matejki, są tam szczegóły nieocenione.

Zrozumiejmy dobrze: z książki Heydla w tej jej części pierwszej czerpać będą nietylko historycy Jacka, ale też historycy życia polskiego, polskiej umysłowości, polskiej uczuciowości w tych przed-sienkiewiczowskich latach.

Część druga dzieła — formalnie zresztą niewyodrębniona — była znacznie trudniejszą do napisania. Autor pozostawał tu sam, bez oparcia dokumentowego i, właśnie jak na amatora - syntetyka przystało, musiał odniechcenia sprecyzować swoje stanowisko wobec arcyzawiłych zagadnień symboliki Malczewskiego, jej estetycznego uprawnienia, jej formalno - plastycznego rozwiązania, wreszcie *last not least*, jej mankamentów i przesad.

Heydel okazuje się tu lubownikiem formy plastycznej, ale i analitykiem symbolu. Umie cieszyć się każdą linją i każdą plamą malarską, ale nie zamyka oczu na problem treści, nawet ideologji symbolu i zwłaszcza na zagadnienie jej stosunku do formy. Najważniejszą tu bodaj dla piszącego o Malczewskim jest zdolność przeciwna, zdolność niezamykania oczu na formę w chwili entuzjazmu dla symbolu: to właśnie gwarantuje możność krytycznej oceny pewnych momentów twórczości Jacka.

W rozpatrywaniu tajników formy ma nawet Heydel pewną kokieterję fachowości w zwracaniu uwagi na niezmiernie ciekawe zmiany w fakturze roboty malarskiej, w nakładaniu i dobieraniu farb, zależnie od poszczególnych epok. Rozpatrując lata 1900 — 1904, wypowiada nasz autor niezmiernie ciekawe obserwacje techniczne, zaraz jednak związane z ogólnem tłem doby i psychy, kierunków i duszy malarza. Jacek uległ pewnym nalotom manjery czy modły impresjonizmu w samemże opalizowaniu czarodziejskiej palety.

Czy uległ? Równocześnie bowiem jego dawny realizm przedzierzga się w fantastyczną bajkowość: „Może Malczewski poddał się podświadomie nowym sposobom malowania właśnie dlatego, że go one zaczęły nęcić i odpowiadały jego wewnętrznej potrzebie?“.

Problem rozwoju, doskonałości i przesycenia symbolu Jacka Malczewskiego potraktowany jest obszernie i wnikliwie w rozdziale, nazwanym „Zaciasne ramy“. Ta nazwa mówi za siebie. Tu właśnie odnajdziemy całe nasze dokumentowe przygo-

towanie z pierwszej części: „Malczewski... romantyk i mistyk, chciał swoją sztuką wyrażać, chciał w niej zamknąć wszystko, co czuł i przeżył jako człowiek, jako artysta, jako Polak“. Jest w tem przecie cała wielkość i słabość, cała szczytność i tragedja jego sztuki.

Napoknęliśmy u wstępu, że Heydel w swej pasji esseisty nie zdołał nie scharakteryzować i siebie samego, charakteryzując Malczewskiego! Chciałbym tę tezę zilustrować paru przykładami.

Przedewszystkiem styl.

Z tym stylem, to cała sprawa. Wiadomo: *le style c'est l'homme.* Powiedział to trochę inaczej Buffon. Powtórzył Bonald, uważając, że tak właśnie, jak literatura odzwierciadla społeczeństwo, tak styl maluje człowieka. W jednem i drugiem jest trochę prawdy i dużo przesady. Ale trochę prawdy jest.

Styl naszego esseisty jest nerwowy, urywany, żywy zapewne, ale czasem siekany. Zdaje sobie sprawę z tego podświadomie, i jakby chciał nałożyć nań moderator. Wszystko podświadomie. I z tego wypływa przecież manjera, trochę czasem dokuczliwa. Jestem przekonany, że nasz autor o niej nie wie. Ta maniera je-t, ni mniej ni więcej, tylko t r ó j k o w a. Ot, takie zdanie odrazu z brzega: „Polskie życie, triumfy i klęski, polskie bóle, radości, zachwyty... to wszystko wydobyte, pokazane, objawione“. A potem: „Około tych natchnień, mozołów, wysiłków“, „wzór zagmatwany, dziwaczny, tajemniczy“. Bardzo dużo jest tej mimowolnej manjery.

Jak ją wytłumaczyć? Bardzo prosto: chęcią nadążenia za pośpieszną myślą, a równocześnie sprzeczną z nią chęcią moderowania jej. Bodaj że właśnie w tym szczególe widać pewne amatorstwo. Ta manjera robi wrażenie nienaturalności u tego najprostszego z autorów! Bo też wrażenie naturalności stylu jest wynikiem bardzo świadomej pracy i artyzmu! Bardzo to nieromantyczne, ale bardzo prawdziwe.

Druga uwaga jest poważniejsza, dotyczy tego, co Heydlowi jest najdroższe... Oto fanatycznie przywiązany do swoich i Jacka stron rodzinnych, uważa je — okolice radomskie — nietylko za najładniejsze w kraju, ale wręcz ze najbardziej polskie! Rozkoszuje się „płaskim krajem, lasu pasem na horyzoncie“. „Krajobraz, w którym nic nie uderza, nie pociąga oka z oddali“. Bardzo pięknie opisuje to piękno: te sosny rosochate i krzywe, te białe gaiki brzozowe, ten ciemno niebieskawy horyzont. Ale po tem wszystkiem, dowiadujemy się, że ten kraj, to „przejście od pagórkowatej Małopolski do sztywnopłaskiego Mazowsza“. Mniejsze o Małopolskę, bo idzie tu o równinę. Ale gdzież u licha nasz amator równiny zobaczył sztywną płaskość Mazowsza?! Tak powinien mówić tylko ktoś, nie lubiący równiny, nie znający się na niej. Możnaby tu wręcz iść na udry, i twierdzić, że Mazowsze dopiero rozwinęło w całej pełni zarodki piękna radomskich okolic. Ono dopiero dało piaszczystej równinie, sosnom, bezkresowi sinego horyzontu — całą ich czystą potęgę. Świadczę się tu Norwidem, Chełmońskim — i Chopinem.

Tak to Heydel okazał się tu wilkiem, a radomskie — lasem...

Wszystko razem zebrawszy: książka piękna i bogata. Są w niej rzeczy do wzięcia, są do odrzucenia. I dlatego właśnie, że czytelnikowi narzuca wybór — jest książką żywą[1]).

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

[1]) Na zakończenie jedno życzenie pod adresem wydawcy: niechże jaknajszybciej wynajdzie niefachowca, któryby z równym sukcesem przedstawił nam wielkość i upadek Ekonomji politycznej. Dług ten, u prof. Heydla zaciągnięty, domaga się rychłej spłaty!

POSELSTWO

Chwała Ojcu, Synowi i Świętemu Duchowi...
Idziemy do was z światłem, idziemy do was nowi, —
Niesiem dobrą nowinę i nie chcemy nic za to,
Radość wasza i nasza będzie naszą zapłatą!

Przynosimy wam dzisiaj co najlepszego mamy.
Ani dobrego słowa dla siebie nie czekamy, —
Przynosimy wam pewność, bośmy widzieli sami,
Dzisiaj, w samo południe — że jest Bóg między nami!

W rynku wielkiego miasta, gdzie ciżba i stragany,
Widzieliśmy Go dzisiaj u południowej ściany.
Pomiędzy nami naraz w płomieniach stanął cały,
A w trwodze wielkiej wieże dokoła poklękały!

Popatrzał na nas tylko oczyma jak jezioro,
Że od patrzenia tego jeszcze nam serca gorą,
I tak nam rozpowiedział wszystko, choć trwając niemy,
Czegośmy nie wiedzieli, że odtąd wszystko wiemy.

Idziemy do was nowi, idziemy do was prości,
Już wiedząc, że próg każdy samego Boga gości,
Już wiedząc, że jak tylko godzina będzie biła,
Stanie za nami Jego przedwieczna moc i siła.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

Polski przekład książki Gentilego. — Faszyzm jako powtarzanie aksjomatów. — *Giovinezza* i młodość polityczna Włoch dzisiejszych. — Faszyści wobec kwestji żydowskiej.

PRZECZYTAŁEM ostatnio (z niemałym trudem, brnąc przez nonsensy niechlujnego przekładu i niechlujniejszej jeszcze korekty) wydane przed kilkoma miesiącami tłumaczenie polskie broszury G. Gentilego p. t. „Źródła i doktryna faszyzmu“ [1]). Nie żałuję wysiłku, na jaki się naraziłem. Wprawdzie w treści dziełka znajdowałem dobrze znane oddawna, tysiąckrotnie już formułowane, elementarne prawdy o narodzie, ale to zjawisko właśnie, w tym wypadku, wydało mi się interesujące i zasługujące na rozpatrzenie. W zestawieniu z innemi przykładami publicystyki faszystowskiej, z obserwacjami, jakie zanotowałem w osobistem zetknięciu się z paroma wybitniejszymi członkami partji i szeregiem młodszych jej zwolenników, wywody oficjalnego ideologa „czarnych koszul“ uprzytomniły mi, w sposób wyraźniejszy, pewną istotną — jak mogę mniemać — cechę dzisiejszej dyktatury we Włoszech, ułatwiającą wytłumaczenie jej ducha i charakteru.

Faszyzm to przedewszystkiem entuzjastyczne powtarzanie aksjomatów, deklarowanie ustawiczne i uroczyste, że naród — to naród, że moralny związek pokoleń minionych i przyszłych jest czemś realnem, ważniejszem, niż interesy materjalne poszczególnych klas czy grup społecznych, że „słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę“. Faszyzm to ciągłe, patetyczne i pełne powagi, przypominanie abecadła obowiązków narodowych. Jakże znamienny, z tego punktu widzenia, jest przełożony parę lat temu na język polski „Pamiętnik z czasów wojny“ [2]) Mussoliniego! Jak nieznużenie ówczesny bersaljer, dzisiejszy *Duce* proklamuje wartość odwagi żołnierskiej, wytrwałości, poświęcenia...

Jest w tej postawie jakaś autentyczna młodzieńczość, jakaś w głębszem słowa znaczeniu *giovinezza*, olśniona dokonanem przez siebie odkryciem, że „dwa razy dwa jest cztery“, że „słońce świeci“, że stać trzeba na nogach, nie na głowie... I cenne niezmiernie były te stwierdzenia, zarówno dla Włoch przedfaszystowskich, jak dla całej tegoczesnej Europy, gdzie tyle rzeczy ustawiono przecież do góry nogami, gdzie najpłytsze frazesy masońskie, sprzeczne z prawami życia, idą po kursie poważnych idej politycznych, które usiłuje się urzeczywistniać w praktyce.

Ale jest też druga strona tego zagadnienia, której nie należy spuszczać z oka. Włosi istotnie są narodem m ł o d y m, w tym sensie mianowicie, że tradycja ich polityki państwowej nie trwa nawet stulecia: przedtem był okres parowiekowy rozdarcia i niewoli, z którym Italja zjednoczona nie stanowi ciągłości chociażby w tej mierze, w jakiej np. Francja po Wielkiej Rewolucji jest (w polityce zagranicznej i wewnętrznej) kontynuacją Francji dawnej, monarchicznej, albo dzisiejszy Związek Sowiecki — Rosji carskiej... Zrozumiałe jest w tych warunkach, że, zastanawiając się nad „źródłami“ ideowemi faszyzmu, Gentile nie potrafi sięgnąć myślą dalej, aniżeli do pism Mazziniego.

Włosi, niedawno zorganizowani w jedność państwową, w instynktach swych nie mają dostatecznie zakorzenionego poczucia, że działają jako całość, jako naród, — żywią potrzebę uświadamiania sobie tego nowego stanu, powtarzania o nim na głos i nic charakterystyczniejszego nad uwagi, które w tym duchu czyni Gentile na temat udziału Włoch w wojnie światowej w r. 1915: jego zdaniem, „najistotniejszem było przystąpić do wojny: czy to z Niemcami czy przeciw Niemcom“, przystąpić do niej „nie dla Trydentu, Tryjestru i Dalmacji“, „nie dla korzyści... politycznych... ekonomicznych... ani dla nabytków kolonjalnych“, ale w tym celu, aby „scementować Naród, jak to tylko wojna może uczynić“, aby stał się on „Narodem prawdziwym,.. zdolnym poruszać się i chcieć... i zaważyć na świecie, jednem słowem wejść do historji z własną osobowością“...

Ta „młodość“ polityczna i z nią związany brak instytucyj tradycyjnych w życiu publicznem, są bodaj najistotniejszym powodem, dla którego w faszyzmie, gdy przechodzi od założeń ogólnych do praktycznych urzeczywistnień, tyle jest dowolności, eksperymentów (np. parokrotnie, zasadniczo odmieniane koncepcje prawa wyborczego do parlamentu) i tak niełatwe, po jedenastu latach, porzucenie prowizorycznych, z istoty swej, metod dyktatury. Ten brak psychicznego oswojenia się z faktem wpływania wolą swą, jako mocarstwa, na kształtowanie się losów świata, niewątpliwie zmniejsza zdolność faszyzmu do urzeczywistniania jakichś nowych, ogólniejszych idej w dziedzinie stosunków międzynarodowych i ogarnięcia myślą wielkich, przyszłości całej kultury europejskiej dotyczących zagadnień dzisiejszej doby przełomu.

*

Jedną z wielkich kwestyj w życiu naszej cywilizacji, sprawą o zasięgu światowym, w której faszyzm najmniej zapewne ujawnił myśli twórczej, aktywności i inicjatywy, jest zagadnienie żydowskie. Nie zajęła się tym problematem włoska rewolucja narodowa, Mussolini oficjalnie uchylał się od podjęcia jego, oświadczajac: „niema kwestji żydowskiej we Włoszech!“ Tem więcej wszakże interesujące jest zapoznanie się z garścią wiadomości, jakie z tego zakresu podał w roku ubiegłym „Przegląd Katolicki“ (nr. 33). Współpracownik tego pisma zwraca uwagę, że

„Mussolini do utworzonej przez niego Akademji Włoskiej (*Accademia d'Italia*) nie powołał ani jednego żyda, żaden żyd nie wszedł do senatu włoskiego, żaden żyd nie został dyplomatycznym zastępcą Włoch zagranicą, żaden żyd nie piastuje urzędu w partji faszystowskiej, żaden żyd nie jest kierowniczym redaktorem jakiegoś pisma włoskiego, nie zamianowano żadnego żyda generałem armji wzgl. marynarki, ani też oficerem milicji faszystowskiej. W włoskiej izbie poselskiej zasiada tylko jeden żyd, Cino Olivetti, ale i ten jest wychrzczony... Również w kulturalnem życiu Włoch tłumi się dzisiaj wpływy żydowskie. Tylko w uniwersytetach wśród profesorów liczba żydów jest jeszcze dosyć znaczna... Należą oni jednak wszyscy do starszej generacji i mają swoje nominacje z czasów liberalnych. Od 1923 roku we Włoszech żaden żyd nie został zwyczajnym profesorem uniwersytetu...

Niedawno donosiły pisma, że słynny minister lotnictwa Balbo, który w uznaniu za lot amerykański został teraz zamianowany marszałkiem, jest pochodzenia żydowskiego. Rząd włoski temu jednak bardzo stanowczo zaprzeczył, wskazując, że Balbo pochodził ze starej rodziny włościańskiej, osiadłej w Piemoncie, której rodowód sięga 14-go wieku. Inni wskazują na to, że włoski minister skarbu, Jung jest żydem. I to

---

[1]) G i o v a n n i G e n t i l e: „Źródła i doktryna faszyzmu“, Warszawa, 1933, nakładem księgarni F. Hoesicka.

[2]) B e n i t o M u s s o l i n i: „Pamiętnik z czasów wojny“, Poznań, Wyd. Polskie R. Wegnera, przekład J. Birkenmajera.

niezupełnie jest prawdą. Jung, którego przodkowie pochodzą z Gesling w Badenji, jest wprawdzie pochodzenia żydowskiego, ale już jego pradziad wraz z rodziną wychrzcił się i przeszedł na łono Kościoła Katolickiego i rodzina od tego czasu żeniła się z katoliczkami".

Dlaczego przytoczyłem ten przydłuższy cytat? Dlatego jedynie, że istnieje planowa propaganda, mająca za cel udowodnienie, iż nacjonalizm narodu europejskiego może być, mimo wszystko, filosemicki, i że dzisiejsze Włochy faszystowskie są tego najlepszym dowodem. Hałaśliwie przypomina się pradziadka ministra skarbu w Rzymie, chociaż o rodzonych matkach bliższych nam, tutejszych dygnitarzy zachowuje się grobowe milczenie.

Tymczasem rzecz przedstawia się zgoła odmiennie. Nacjonalizm w Europie, dlatego tylko, że jest ruchem narodowym, z konieczności musi likwidować żydostwo, choćby wcale w zagadnienie to się nie wgłębiał i nie zamierzał całkiem niem się zaprzątać. Musi, ponieważ jako ruch narodowy, kładzie nacisk na takie wartości, które żydom, z natury rzeczy, są obce, stwarza takie formy organizacyjne, gdzie żyd nie znajduje dla siebie miejsca, ustanawia taką hierarchję ocen, w której żydostwo nieuchronnie obsuwa się na szczeble najniższe. Na przykładzie faszyzmu włoskiego ten fakt właśnie uwydatnia się z całą wyrazistością.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ZAKŁAMANIE... Najpospolitsze, niezbędne słowo codziennego użytku w prasie. Nie mam w tej chwili pod ręką najświeższych dzienników, żeby znaleźć i przytoczyć przykłady. Ale kto przegląda gazety, ten wie, z jak uporczywą monotonją frazes o „zakłamaniu" ciśnie się pod pióra polemizujących w prasie pisarzy „politycznych". Wcale przytem nie okazuje tendencji do zaniku. Pleni się coraz bujniej.

Znamy go dobrze. Jak powiedzieliśmy, nieodłączny to składnik dźwiękowy dzisiejszego politycznego w Polsce zgiełku. Nie zwracamy nań wiele uwagi. Nic naturalniejszego, jak to, że wszyscy są zakłamani... Czyżby frazes, obiegający jak liczman, stracił sens? Byłoby to nieostrożne przypuszczenie. Zdaniem naszem, w rzeczywistości popularność słowa „zakłamanie" ma swoją głębszą przyczynę. Niewątpliwie świadczy o dokonywającej się, w nienormalnych i groteskowych warunkach, konsolidacji narodowej. Właśnie dzięki tym nienormalnym warunkom rzeczywisty postęp polityczny w Polsce daje znać o sobie w wynaturzony sposób, wyrazem nader brzydkim.

Postęp ten jest z pewnością tylko częściowy. Polityczne kłamstwo nie zostało bynajmniej wyrugowane. Wręcz przeciwnie, więcej niż kiedykolwiek weszło teraz w użytek uroczysty i powszechny. I w odniesieniu do takich zawołań, jak „demokracja", „odpowiedzialność", „rozbrojenie moralne" i td. i td. — słowo „zakłamanie" nie straciło nic ze ściśle opisowej wartości. Jest, i to bardzo dużo, zakłamania prawdziwego.

Ale na tem właśnie polegają nienormalne warunki polityczne, w których żyjemy. Zwróćmy natomiast uwagę na inną stronę sprawy. Dla obozu, prosperującego na rozbiciu politycznem narodu, niema perspektywy smutniejszej, niż możliwość nadejścia chwili, kiedy rozbicie to mogłoby się skończyć. W interesie jego leży opóźnienie tej chwili. Ważnem zadaniem propagandy tego obozu musi być tłumaczenie opinji, że Polska nie upodabnia się do tych narodów zachodnich, gdzie wszytkie programy partyjne są zbliżone, ale że tylko rządzący mają swój sekretny program zbawczy, i że jeśli w poglądach politycznych następuje ujednostajnienie, to nietyle wskutek zaniku programów fantastycznych, i nie liczących się z rzeczywistością, ile poprostu naskutek „zakłamania".

Dlatego, im energiczniej będzie się scalała politycznie działająca i myśląca część społeczeństwa, zwłaszcza młodsza, mniej zasuggestjonowana antagonizmami z czasów niewoli, im dziwniejszym przeżytkiem wydawać się będzie *régime* obecny, oparty na tezie podstawowej o rozbiciu narodu, tem powszechniej przypuszczalnie będzie obiegał, emitowany przez najwięcej zainteresowanych, frazes o „zakłamaniu".

Lecz coraz większa inflacja frazesu świadczyć wtedy będzie tylko o postępującej normalizacji politycznej społeczeństwa.

„A POLITYKA, NAWET BŁĘDNA, LEPSZA JEST OD ŻADNEJ". Wątpliwy może „pewnik". Ale nie zamierzamy z nim polemizować. Cytujemy z artykułu słynnego historyka, Michała Bobrzyńskiego, wypowiadającego się na temat przyczyn „kryzysu" światowego w numerze noworocznym „Kurjera Warszawskiego". Jakże pouczające jest zakończenie artykułu:

„Co przyszłość najbliższa i dalsza przyniesie, tego przewidzieć niepodobna. Patrząc jednak na to, co się dzieje na Francji, której ludność o tyle stoi wyżej od naszej, słysząc, że tam rząd wobec najtrudniejszego położenia państwa zmienia się co kilka miesięcy, jeżeli nie tygodni, doznajemy uczucia ulgi, że rząd nasz niezależny jest od kaprysów stronnictw parlamentarnych i że może prowadzić politykę konsekwentną, a polityka, nawet błędna, lepsza jest od żadnej".

Refleksje te raz jeszcze uprzytomniają z wyrazistością nagłą i komiczną, jak zupełnie skończona jest rola wychowawcza przedstawicieli starszej „elity" sanacyjnej w Polsce. Zaiste trudno o myśli dokonałej oderwane od współczesnej rzeczywistości politycznej.

„We Francji... rząd wobec najtrudniejszego położenia państwa zmienia się co kilka miesięcy..." A u nas nie? Ależ także co kilka miesięcy. Czy może nasze położenie jest łatwiejsze? Czemu więc „doznajemy uczucia ulgi, że rząd nasz niezależny jest od kaprysów", jeśli redukuje się to jedynie do — niezależności od kaprysów „stronnictw parlamentarnych", i równie częstym zmianom rządu jak we Francji wcale nie zapobiega?

Jeśli rządy zmieniają się w Polsce równie często, na czem polega nasza wyższość? Na tem, że kolejne rządy mogą jednak „prowadzić politykę konsekwentną"? Tu dochodzimy do istoty nieporozumienia. Rzecz w tem że znakomity historyk, który wyrósł pod zaborem austrjackim, nie wyobraża sobie właściwie państwa, z obowiązującą wszystkie stronnictwa ustaloną tradycją polityczną. Wyobraża sobie, że kiedy Prystora zastępuje Jędrzejewicz, polityczna nić snuje się pięknie, ale kiedy po Daladierze przychodzi Chautemps, to ciągłość politycznego wątku rwie się w strzępy...

Najbardziej charakterystyczna dla umysłowości czynnej dziś w polityce „elity" jest jej nie-

zdolność wyobrażenia sobie, czem jest w praktyce politycznej państwo, które istnieje oddawna i niewzruszenie.

Dzisiejsze urządzenie polityczne Polski zawdzięczamy przedewszystkiem temu, że tak urządzają ją ludzie, dla których jedyną szkołę „państwowości“ były wzory, dostarczone przez państwa zaborcze. Innej szkoły nie mieli. Wzorów zachodnio-europejskich dobrze nie poznali, za najpierwszy zaś obowiązek poczytywali sobie uważać tradycję dawnej Polski za coś, od czego jaknajdalej należy się odsunąć. Ślepo pod tym względem zastosowali się do wskazań nadmiernie jednostronnej szkoły historycznej.

Rychło obowiązkiem pokolenia, które w większej o wiele mierze czuję dziedzicem tradycji politycznej swojej ojczyzny, będzie przywrócić w niej ład więcej polski.

Z ŻYCIA LEKARZY POLSKICH

ZARZĄD Stowarzyszenia Lekarzy Polskich w Warszawie wydał Księgę Pamiątkową „w ćwierćwiecze swego istnienia“; księga ta jest dokładnym obrazem prac lekarzy Polaków na obszarze Królestwa Polskiego w czasie rosyjskiego zaboru.

Warunki bytu instytucyj społecznych zależne były od samowoli władz, trudne do przezwyciężenia w erze zaostrzenia się szykan, to znów łatwiejsze w czasie, jak po wojnie japońskiej, liberalniejszego ustosunkowania się rządu do ludności. Warszawskie Tow. Lekarskie wreszcie, po wielu różnych staraniach, mogło jako Stowarzyszenie zaliczyć w swe kadry lekarzy prowincjonalnych i oprzeć się, w drodze korespondencji, artykułów w prasie i wyjazdów, o naukowy dorobek Izb Lekarskich w Małopolsce.

Ideałem czynników rządowych było w erze popowstaniowej państwo policyjne, sam więc już zamiar zrzeszania się musiał być uważany za nieprawomyślny. Tymczasem każdy lekarz, jako przedstawiciel wyższej wiedzy, tworzył w społeczeństwie ten odłam inteligencji, który na równi z innemi warstwami oświeconemi więcej odczuwał położenie narodu i kraju, i „konieczność zespolenia się w pracy, mającej na celu rozwijanie uświadomienia narodowego“.

Pierwszymi inicjatorami zrzeszenia się byli: dr. Bolesław Jakimiak, dr. Wacław Łapiński, dr. Kazimierz Chełchowski i dr. Szczęsny Bronowski, a ogół lekarzy podjął z uznaniem myśl o tym jednolitym froncie. Projekt miał tem pełniejsze znaczenie, że uniwersytet warszawski, który normalnie, jako najwyższa instytucja naukowa, mógłby, z natury rzeczy, być ostoją i dźwignią naukowej działalności, był już w owym czasie zupełnie zrusyfikowany. Poprzednia praca Tow. Hygjenicznego nie tylko w stolicy, ale w całym kraju, skupiała duży odłam inteligencji narodu, a lekarzy w pierwszym rzędzie, tak że słusznie w wolnej Polsce, poseł na Sejm, dr. Falkowski, podczas jubileuszowej uroczystości Tow. Hygjenicznego, nazwał to Towarzystwo „polskiem ministerjum zdrowia w zaborze rosyjskim“.

Całe lata polska nauka lekarska tuliła się w szpitalach, na oddziałach i pracowniach wybitnych ordynatorów i w redakcjach pism lekarskich, przyczem stale starano się czuwać nad zachowaniem odrębności narodowej, co tak wydatnie przejawiło się w uniezależnieniu Stowarzyszenia, liczącego 331 lekarzy, od rosyjskiej, po wojnie japońskiej, centralnej organizacji związków w Petersburgu, „sojuzu sojuzów“. Szerokie wtedy były możliwości pracy, zawodowo - społecznej, jak kwestja felczerska, akuszerek, pomocy lekarskiej dla ludności fabrycznej, szpitalnictwa, stosunków sanitarnych szkół, i w zakresie teorji, na obradach komisyj i w uczestnictwie w zjazdach naukowych. Ta jednak działalność, choć wyłącznie fachowa i dokonywana w ramach statutu, była solą w oku władz, w rezultacie czego, z racji prowadzenia biurowości w języku polskim, utworzenia, bez osobnego zezwolenia, instytucji sądu koleżeńskiego, projektów reorganizacji służby lekarskiej i szpitalnictwa w Królestwie Polskiem i t. d. zostało Stowarzyszenie w d. 2 sierpnia 1910 r. nakazem gubernatora warszawskiego, barona L. Korfa zamknięte.

Zaczął się, pod pozorem likwidacji agend, nowy okres pracy utajonej i zamaskowanej. Była tu dążność w pewnej swej gałęzi, równie, jak jest i dziś, dla gospodarstwa narodowego aktualna, popierania krajowego przemysłu przez ograniczenie, bez szkody dla chorych i nauki, przywozu z zagranicy towarów obcych, przetworów farmaceutycznych, leczniczych, odżywczych, djetetycznych, hygjenicznych, wód mineralnych, środków opatrunkowych, narzędzi chirurgicznych, narzędzi dla szpitali i przyrządów lekarskich.

W latach od 1918 do 1931 Stowarzyszenie ma ustawową podstawę dla polskiego rozwoju. Okres ten, mimo po wojnie zubożenia kraju, otwiera nowe horyzonty. Niestety! Przez dziwny paradoks historji udział w życiu publicznem, i teraz, w wolnej Polsce narażony był na utrudnienia, a nawet na nagany, o czem księga wspomina w rozdziale, zatytułowanym „Ciężkie chwile“, i kończy ufnem na przyszłość wezwaniem do wytrwania.

A. W.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERATURY I SZTUKI

Państwową nagrodę literacką za r. 1933 otrzymała Marja Dąbrowska, autorka kilkotomowej powieści „Dni i noce“. Przedtem wydała dwa zbiory nowel. Sąd konkursowy rozważał kandydatury pozatem: K. Iłłakiewiczówny, Z. Nałkowskiej, J. Parandowskiego i K. Wierzyńskiego. Dotychczas nagrody państwowe od r. 1925 otrzymali kolejno: St. Żeromski, K. Makuszyński, L. Staff, J. Kaden-Bandrowski, F. Goetel, J. Szaniawski, K. H. Rostworowski, W. Berent.

*

W d. 8 lutego r. b. przypada 25-a rocznica tragicznej śmierci znakomitego kompozytora, Mieczysława Karłowicza. Miłośnicy jego twórczości w Poznaniu na dzień ten przygotowują uroczysty obchód, na który się złożą wydawnictwa, koncerty i akademja. Ma się ukazać mianowicie książka pamiątkowa ilustr., gdzie będą zamieszczone wspomnienia i oceny, poświęcone Karłowiczowi; wydane będą również kartki pocztowe. W sali Filharmonji (w operze) odbędzie się 8 lutego koncert symfoniczny, złożony z utworów jego, równolegle zaś Tow. Oratoryjne urządzi wieczór pieśni; Tow. Tatrzańskie w Poznaniu projektuje akademję na cześć Karłowicza, jako taternika. „Kurjer Poznański“ pamięci jego poświęci tego dnia swój dział kultury i sztuki.

Mamy nadzieję, że Warszawa nie pozwoli prześcignąć się Poznaniowi. Tow. Muzyczne w Warszawie, któremu ś. p. Karłowicz zapisał znaczny majątek, ma wobec niego pewne obowiązki. Wiemy, że przeszło od roku muzykolog p. Kącki wykończył cenną pracę o Karłowiczu, którą złożył Towarzystwu. Pomimo okazanej gotowości słownej, dotąd książka leży w rękopisie i wątpliwą jest rzeczą, czy w rocznicę śmierci się ukaże. Podobno na przeszkodzie stoi brak środków.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Hr. de Gobineau, autor głośnego dzieła o „nierówności ras" („*De l'inégalité parmis les races*"), który oddawna cieszy się w Niemczech wielką popularnością, we Francji zaczyna ją dopiero dzisiaj pozyskiwać, o czem świadczą nowe wydania jego prac. Ostatnio wydano tam jego książkę „*Religions et philosophies dans l'Asie centrale*" („Religje i filozofje w Azji Środkowej"), w której Gobineau analizuje psychologję Azjaty oraz studjuje Islam i wszelkie sekty religijne Persji. Jest tu między innemi mowa o sekcie Babitów i wielkim ruchu emancypacyjnym kobiecym, z tą nową religją związanym. (W. J.)

*

Wyszła świeżo, w jednoczesnym przekładzie na kilkanaście języków, nowa powieść laureata nagrody Nobla z przed paru lat, amerykańskiego powieściopisarza, Sinclair Lewisa, p. t. „*Ann Vickers*". W powieści tej autor ostro występuje przeciw systemowi więziennemu Stanów Zjednoczonych i poddaje surowej krytyce modne miłosierdzie kobiet amerykańskich, którego pobudką jest ambicja oraz pragnienie rozgłosu. Jak w poprzedniej powieści swojej pt. „*Babbit*" scharakteryzował Sinclair Lewis typowego Amerykanina, tak w tej nowej charakteryzuje kobietę amerykańską, będącą wytworem standardyzowanym zakładów szkolnych Stanów Zjednoczonych. (W. J.)

*

W przekładzie francuskim wyszła znana książka I. Heron Lepper'a o „Stowarzyszeniach tajnych, od starożytności do dni naszych" („*Les sociétés secrètes, de l'antiquité à nos jours*"). Jest to przegląd wszelkich związków i towarzystw tajnych, poczynając od egipskich, greckich i t. p., kończąc na Kamorze, Mafji, wreszcie Ku - klux - klanie i t. d. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

OSTATNIO obie nasze instytucje, poświęcone plastyce, wystąpiły z wystawami o charakterze zbiorowym, ogólnym. Zachęta zorganizowała „Salon Doroczny", IPS urządził wystawę legjonistów-palstyków. Trzeba przyznać, iż obie imprezy nie należą do najszczęśliwszych. Nie wydaje mi się potrzebne porównywanie obecnego „Salonu" Zachęty z poprzedniemi: przypadkowe odchylenia w liczbie dzieł lepszych nieco, lub gorszych nie stanowią o istocie rzeczy, tak samo jak wymienienie szeregu wystawców z oceną przy każdem nazwisku. Daleko ważniejsze będzie stwierdzenie — że użyję modnego słowa — klimatu Salonów, który od kilku lat utrwala się z przerażającą uporczywością.

Wieści z Sowietów głoszą o uregulowaniu tam życia artystycznego w ten sposób, iż każdy z artystów zarejestrowanych otrzymuje pensję, wzamian zaś musi w określonym terminie dostarczyć tyle, a tyle prac. Niektórych to gorszy i ci powiadają: artysta to nie urzędnik. Czy w tem jednak tkwi sedno sprawy? Nie o to chodzi przecież, że plastyk pracuje regularnie (Matejko np. malował b. systematycznie, dzień w dzień) nie o to również, że ceny za obrazy podlegają pewnej stabilizacji — grunt, by nie pracować jak wyrobnik.

A tak właśnie maluje wielu stałych, nadwornych dostawców Zachęty — jak wyrobnicy, a nie artyści. Nikt ich jeszcze nie upaństwowił, a oni już sami odstawiają swoje kawałki z rutyną, której niejeden biuralista by się nie powstydził. Co gorsza i ci, obdarzeni zasobem pewnych zdolności, lub talentu, sami rezygnują z posiadanych możliwości, z ambicyj wysiłku, poszukiwań, pragnień, myśli wreszcie, na rzecz łatwego, ustalonego raz na zawsze wyrobnictwa. Stąd też atmosfera Salonów Zachęty, które już z natury rzeczy, jak wiele innych Salonów oficjalnych, nie należą do wystaw żywszych, nasycona jest nudą, oschłością i tępotą.

Zawartość Salonu—to w znacznej części portrety pań i panów z inteligencji warszawskiej, prace, którym często daleko nawet do poprawności, dalej pejzaże i pejzażyki, nierzadko malowane z pamięci, w pracowni, a usiłujące imitować bezpośredniość pracy, wykonanej wprost z natury. Wreszcie kompozycje, nieraz w nielitościwy sposób demaskujące inteligencję ich autorów.

Garść artystów poważnych, ze starszego i młodszego pokolenia, na zmianę zasadniczego nastroju wpływu oczywiście nie ma i nie trzeba chyba dodawać, że ta atmosfera, na młodzież uczestniczącą stale w wystawach Zachęty, a pełną jeszcze dobrych chęci, działa jedynie destrukcyjnie.

O niedomaganiach wystawy w IPS-ie napiszę w najbliższym tygodniu.

WIKTOR PODOSKI

FILM

CASINO: „Zabawka".
Apollo: „Prokurator Alicja Horn" reż. Waszyński.

Ostatnie kilka filmów krajowej produkcji każe nam znowu zwrócić uwagę na scenarjusze. Rażące braki w wykonaniu wielu utworów dawniejszych, dyskredytowały ich treść, której nikt—podanej w takiem ujęciu — nie mógł brać na serjo.

Potem przyszła fala komedyj. Tu z kolei wymówką dobrą, rozgrzeszeniem z bezsensu, mógł być argument: przecież to nie na serjo, to tylko żarty. Okolicznościową zaletą tych filmów stała się przynajmniej bezpretensjonalność: nie ujawniano w nich chęci traktowania spraw życiowych poważnie, jak w poprzednich „dramatach".

Teraz notujemy zwrot ku scenarjuszom poważniejszym (może za przykładem zagranicy) i nawet pretensję do podejmowania tematów o horyzontach szerszych, niż dzieje „złamanego serca", zakończone tradycyjnym *happy-end*'em. Objaw ten, łącznie z ciągłym postępem udoskonaleń technicznych i niewątpliwem wyzbyciem się najbardziej rażących i tandetnych chwytów, przy kształtowaniu artystycznem formy utworu (reżyserja i montaż), zdawałby się świadczyć o powolnej, lecz niewątpliwej poprawie krajowej kinematografji.

Powstaje jednak nowe niebezpieczeństwo. Rozważanie w filmie, jeśli już nie zagadnień, to rozmaitych spraw poprostu, jakie nasuwa życie, naświetlanie ich, rozważne i celowe, wymaga oczywiście inteligencji, a przynajmniej subtelności.

Jednem i drugiem krajowi producenci dotychczas nie zgrzeszyli.

W obrazie malarza słowa: „dobre i złe" dotyczą tylko zewnętrznej strony dzieła, w obrazie ruchowym (filmie), z całą dobitnością mogą również świadczyć o rozważanych w nim kwestjach etycznych. Fałszywa hierarchja moralna, wykoślawiony jej obraz, tembardziej ujdą uwadze mniej bacznego widza, jeśli będą przemycane w stosunkowo gładkiej, pozbawionej rażących usterek formie zewnętrznej utworu (realizacja).

Pierwszy z omawianych filmów, „Zabawkę" można zaliczyć do utworów przejściowych w typie. Jest tu wiele ogranych motywów naszego filmu. I dancing, i dwór, i „kobitki", a wszystko podlane gęsto sosem erotycznym. Nie zajmowalibyśmy uwagi czytelników tym przykrym widokiem sporu (a nawet bójki) samców i samczyków o baletnicę (Alma Kar), gdyby nie właśnie „wyższe aspiracje", autorów tego filmu. Nazwali swój utwór symbolicznie „Zabawką", bo chcą wmówić przeciętnemu widzowi kina: „patrzcie, jak to kobieta bywa zabawką w ręku mężczyzn". Na czas pobytu syna z narzeczoną na wsi, dziedzic ukrywa girlsę w gajówce. A więc nie traktował jej poważnie — „zabawka". Gdyby autorowie opowieści pokazali w dziewczynie człowieka, kazali jej kochać kogoś naprawdę, moglibyśmy choć przez chwilę wierzyć w jej krzywdę. Dzięki nielogiczności scenarjusza niema się jednak czem przejmować. Dziewucha kokietuje wszystkich, na prawo i lewo, chłopaka gajowego (Bodo)

doprowadza do białej gorączki, ciągnie gotówkę od starego dziedzica, zamiast pracować — o czem tu więc gadać? Bawcie się panowie filmowcy, jak umiecie, ale poco moralność do tego mieszać?

W głównej roli wystąpiła Alma Kar (debjut); z początku niewyraźna, prowadzi następnie djalog b. ładnie i z wdziękiem. Śpiewa gorzej. Obok niej należy wymienić Bodę jako amanta wiejskiego. Mimo roli, właściwie charakterystycznej, grał z umiarem, posługując się dyskretnemi środkami wyrazu.

Djalogi lepiej, niż zazwyczaj, opracowane. Film nie ma bardziej rażących usterek reżyserji i montażu, ale też i nie wykazuje—poza kilkoma szczegółami — żadnych większych ambicyj w tym kierunku.

Ilustracja muzyczna — dobra.

Poważniejszy i staranniej opracowany jest drugi film: „Prokurator Alicja Horn", przerobiony z powieści Mostowicza, o charakterze niewątpliwie sensacyjnym (nie czytałem jej). I tu trzeba przedewszystkiem zwrócić uwagę na scenarjusz, w którym wątek sensacyjny, wysnuty z powieści, został zapewne jeszcze podkreślony. Najdosadniej wykazana została jednak bezradność autorów filmu przy naświetlaniu etyki bohaterów utworu i pobudek ich czynów. W dziedzinie pojęć moralnych całkowity galimatjas.

Prokuratorowi-kobiecie w udziale przypadło oskarżać przed sądem posądzonego o zabicie uwiedzionej przez siebie dziewczyny. Oskarżony jest (względnie był) kochankiem prokuratora kobiety. Mamy więc stary dylemat: uczucie, czy obowiązek? Prokurator grzmi: wieszać takich! i, jako rzeczniczka swej płci, wygłasza płomienną mowę. Bylibyśmy wzruszeni, gdyby nie wątpliwość, co nią kieruje: poczucie sprawiedliwości, czy chęć zemsty nad kochankiem, który ją odtrącił. Chwilę przedtem odbywa się też „budująca" scena. Wezwany na przesłuchanie oskarżony zachowuje się, jak na więźnia przystało, a kobieta-prokurator rzuca mu się na szyję. Jeśli widz na sali w tem miejscu nie mruknie: „mają rację, że bab nie robią prokuratorami"—jestem turek. Ta sama Alicja Horn beszta swoją wychowanicę i znowu niewiadomo dlaczego to robi: czy dlatego, iż dziewczyna rzeczywiście zachowuje się nieznośnie, czy przez zazdrość o kochanka, z którym mała flirtuje?

Jest jeszcze znakomity profesor, uczony, też figura niewyraźna. Zorganizował szajkę i dla doświadczeń naukowych (jakich?) porywa młode kobiety. Co później z niemi robi — niewiadomo. Oskarżony mu pomaga: Obaj znają swoje grzeszki z przeszłości, więc się trzymają kupy. Ten profesor dopiął nareszcie swego, zrobił wynalazek (jaki?) i zademonstrował go w Paryżu. W ostatniej chwili, gdy oskarżonego już, już mają skazać, wpada zdyszany do sali sądowej (wrócił samolotem), by zaświadczyć o niewinności, w tym wypadku, oskarżonego. „Nie zabił jej"—powiada—„tylko porywał dla mnie, a po drodze napadli ich i podczas szamotania się z bronią zdarzył się wypadek". I co państwo powiecie? Na takie *dictum*, zamiast z miejsca aresztować profesora za porywanie dziewcząt (gwałt), uwalniają oskarżonego.

W całej tej aferze właściwie najprzyzwoiciej wygląda właśnie oskarżony, dawny międzynarodowy kombinator. Na całej przestrzeni filmu nie pokazano wcale jego „machlojek".

W roli prokuratora Alicji Horn, pani Smosarska zrobiła bardzo wiele, by zerwać wreszcie z szablonem postaci niewinnego dziewczęcia, gwałconego przez kozaków.

Wielu recenzentów jako zaletę, podkreślało naturalność recytacji djalogów. Uwaga słuszna, przemilczano tylko beznadziejną, zwłaszcza na początku, treść tych djalogów. Było to typowe przelewanie z pustego w próżne. W teatrze złe, w kinie jest to już niewybaczalne. Tu djalogi, nie zawierające żadnego słowa zbędnego, powinny być ograniczone do *minimum*. Pod tym względem film pozostawił niejedno do życzenia.

Brodniewicz (uwodziciel), poza paru momentami przesady ujął swą rolę właściwie. Montaż nie bez zręczności, w dozowaniu poszczególnych scen. Zdjęcia, jak zwykle, dobre.

KANDYD

MUZYKA

FILHARMONJA. — Najpierw słów parę o programach koncertów symfonicznych. W ubiegły piątek, 29 grudnia odegrano IV-tą symfonję Głazunowa, poczem koncert *f-moll* Chopina, poczem dwa utwory Rytla i Rimskiego-Korsakowa. Zastanówmy się chwilę nad ułożeniem powyższego programu. Co miało na myśli kierownictwo Filharmonji, zestawiając te nazwiska? — Jak można po koncercie fortepianowym Chopina umieszczać fragmenty „Cara Sałtana" Korsakowa, albo wstęp do opery „Ijola" wraz ze „Wstępem do dramatu" Rytla?—Inny przykład: Beethoven, Chopin i Schoenberg, albo Weber, Głazunow i Strawiński, którego w ostatniej chwili zastąpiono Ryszardem Straussem, albo Cherubini, Beethoven i Szymanowski.

Nie można się oprzeć wrażeniu, że programy układa się wciąż jeszcze z tą myślą przewodnią, iż piątkowe koncerty symfoniczne stanowią t. zw. „kulturalną rozrywkę" warszawskiej t. zw. „muzykalnej publiczności". Dlatego też daje jej się stale i tego trochę i tego trochę, ażeby się, broń Boże, czasem nie znużyła. Przypomina to t. zw. „rewję".

Należałoby z tem skończyć. W układaniu programów koncertów musi być jakaś linja, jakiś głębszy sens. Nie można jednego wrażenia zacierać zupełnie innem, a tego znowu innem. Raczej trzeba je potęgować, lub przez zestawienie dawać możność zastanawiania się, przemyślenia, kształcenia, a nie tylko okazję do przyjemnego i kulturalnego spędzenia czasu.

Czwartą symfonję *es-dur* Głazunowa wykonano świetnie. Orkiestrę prowadził Bierdiajew z pełnem wyczuciem charakteru. Podobnież w obu utworach Rytla („Wstęp do dramatu" po raz pierwszy wykonany był na estradzie).

Kontakt wykonawcy, a zwłaszcza samego utworu ze słuchającymi, to nie zawsze kwestja jego łatwości, a co za tem idzie, podobania się. Kontaktu tego nie należy kłaść na karb jedynie takiego czy innego poziomu publiczności. Sekret jego tkwi najczęściej w tem, co stanowi istotę sztuki. Można się spierać o wartość wykonywanego utworu. Spór zawsze będzie jednaki i zacznie się od słów „już dzisiaj". Owo „już dzisiaj" jest zwykłą koleją i końcem każdego nowego przejawu, któremu musi się kiedyś przeciwstawić bardziej nowy. To punkt sporny, żywotny punkt sporny, rodzący nowe zagadnienia i pojęcia. Dlatego określenie mianem sztuki nowej pewnych ściśle określonych zdobyczy nie jest stanowiskiem słusznem; w samem już tem określeniu występuje pierwiastek czasu, który gra tu rolę jedyną. Spór jest jednak zawsze żywotny, chociaż, jakże często, niesprawiedliwy. „Jedno pokolenie stara się o poznanie, drugie rozumie i używa, trzecie krytykuje" — pisze James Huneker w swojej książce o Chopinie. Nie koniec jednak na tem. Bo o ile skrytykowane wreszcie zjawisko posiada istotną wartość, historja się powtórzy. Znowuż przyjdzie poznanie, poprzedzone „odkryciem", znowuż zrozumienie i użytkowanie.

Dzisiaj w określeniu „nowa muzyka" przejawia się jeszcze przeciwstawienie się akademizmowi. Piszę jeszcze, gdyż dyskusja winna się już toczyć i rzeczywiście wyrasta wokół innych zagadnień. Zwykły, starczy upór. Jeśli ktoś myśli, że jest to przeciwstawienie mu eksperymentowania — popełnia błąd; nie wyłamanie się ze szkoły, jej zasad i przepisów, nie eksperymentowanie jest istotą reakcji na akademizm, a przeciwstawienie sztuki wyrosłej nie tylko z przemyślenia, sztuce, która oprócz ujęcia w ścisłe zasady umiejętności tworzenia, nawet kwestje estetyczne zamknęła w określone pojęcia! To też reagowanie na akademizm wyrozumowanem eksperymentowaniem i naodwrót — nie jest słuszne.

Przychodzi na myśl stary spór, toczony między klasykami i romantykami. Oczywiście — romantycy byli górą. Stanowili sztukę nową. Odrzućmy jednak pierwiastek czasu. Możemy już to uczynić. I w takim razie musimy powiedzieć, że romantycy byli górą. I mieli rację — bo oni nie chcieli tylko „szkiełka i oka".

A dzisiaj znowuż zwalcza się „szkiełko i oko". Czem?— szkiełkiem i okiem...

Koncert *f-moll* Chopina odegrał p. Stanisław Szpinalski. Aż się oczom nie chciało wierzyć! Polak jako solista wieczorowego koncertu Filharmonji warszawskiej? — To zapewne dlatego, ażeby nie można było powiedzieć, że w sezonie zimowym 1933 roku nie występował ani jeden Polak... Postanowiono zrobić koncesję..

W. NARUSZ

ZMARLI

Ś. P. TADEUSZ JENTYS

W dniu 2 stycznia zmarł w Warszawie ś. p. Tadeusz Jentys, długoletni prezes zarządu i dyrektor Hotelu Bristol, pełnomocnik interesów Ignacego Paderewskiego, członek zarządu Filharmonji Warszawskiej, b. sędzia handlowy etc. Urodził się w r. 1863. Za czasów uniwersyteckich, w epoce apuchtinowskiej był więziony w cytadeli warszawskiej, oraz w twierdzy modlińskiej. Położył duże zasługi w rozmaitych dziedzinach pracy społeczno-gospodarczej. Wybitnie współdziałał w szeregu przedsięwzięć filantropijnych i społeczno-narodowych Ignacego Paderewskiego.

Cześć Jego pamięci!

OFENSYWA

KANDYDACI DO NOBLA

W SEMICKIM odłamie prasy sanacyjnej czytamy następujący telegram:

Wilno (ŻAT). Centralny Zarząd Żydowskiego Instytutu Naukowego uchwalił wystawić kandydaturę Szaloma Asza do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1934.

Szaloma Asz w dziedzinie literackiej! Dobrze! Natomiast w dziedzinie pokojowej kandydatem Genewy, Paryża, Salonik, Tel-Awiwu, New Yorku i t. p. jest tym razem najznakomitszy mąż stanu obu półkul, Maxym M. Litwinow. W ostatnich czasach ten dyplomata, wysoce aktywny i ofensywny reprezentant Sowietów, wygłaszał dużo mów i odbywał duże podróże, tu i ówdzie przyjmowany owacyjnie. W Nowym Yorku w hotelu Waldorff-Astoria odbył się ku jego uczczeniu bankiet na 4.400 nakryć, przyczem odegrano Internacjonałkę, której cała Shylockracja wysłuchała stojąc. W Rzymie bankiet był w sali Horacjuszów i Kurjacjuszów. Ponieważ więc czyta i pisze się teraz o nim na wszystkie boki i strony, przeto należałoby jednak wiedzieć, kto zacz, skąd i jak?

Szczęśliwym trafem możemy mieć informacje z pierwszej ręki, bo z dwóch źródeł czysto żydowskich, to jest z „Naszego Przeglądu" i z naszej „Opinji". Składając ziarnko do ziarnka, zbiera się miarka i portret gotów.

Meyer Wallach, dzisiejszy Maxym M. Litwinow urodził się w Rożanach (pow. Słonimski) w r. 1876 jako syn kupca a wnuk rabina. Ojciec dyplomaty rosyjskiego żyje i mieszka w Białymstoku, zajmując się pośrednictwem handlowem. Nazwisko rodowe Wallach musieli zmienić już dawno, skoro w prasie prowincjonalnej czytaliśmy niedawno taką notatkę:

„W San Francisco, w domu nr. 628 przy Czwartej ulicy ma maleńki warsztat krawiecki 63-letni, Leon Litwinow. Specjalnością tego krawca jest prasowanie spodni, co niewątpliwie nie przynosi mu większych dochodów, wystarcza jednak na skromne utrzymanie. Niepozorny ten staruszek jest rodzonym bratem komisarza dla spraw zagr. Litwinowa, przyjmowanego niedawno w Ameryce z takiemi honorami. Stary Leon Litwinow, który uciekł z Rosji po rewolucji z roku 1905, przyjął obywatelstwo amerykańskie. Jest ze swego losu zupełnie zadowolony, — z bratem nie utrzymuje od lat żadnych stosunków i do spraw politycznych zupełnie się nie miesza".

O Maksie Maksymowiczu czytamy znów w „Opinji", że „gdy wstąpił do wojska, był już rewolucjonistą i brał udział w pracy propagandowej wśród żołnierzy". Skazanemu na Sybir, „udało się zbiedz". W Szwajcarji styka się z bolszewikami. „Lenin cenił w Litwinowie jego zmysł praktyczny", pisze „Opinja":

„W odróżnieniu od reszty rewolucjonistów rosyjskich Litwinow umiał zawsze połączyć pracę wywrotową z wygodnym trybem życia. Nigdy też nie odczuwał braku pieniędzy. Miał zmysł kupiecki i, będąc na wygnaniu, stale coś kupował i sprzedawał, zarabiając przytem wcale nieźle".

W r. 1906 zostaje aresztowany w Paryżu, gdyż znaleziono przy nim banknoty rosyjskie, które Stalin i jego towarzysze zdobyli podczas „słynnego napadu na Bank Tyfliski". Już miał być wydany carskim władzom, ale Litwinowowi „udało się przekonać sędziów", że napad był aktem politycznym. Odstawiony do granicy, przenosi się do Anglji:

„W Londynie Litwinow świetnie się urządził. Zarabiał przy różnych tranzakcjach i żył bardzo wygodnie. Poznał pannę z wyższych sfer angielskich i ożenił się z nią".

O tej pannie... niekoniecznie z najwyższych sfer... żonie Narkomindieła czytamy znowu szczegóły zebrane z żargonówek amerykańskich przez „Nasz Przegląd" (3 grudnia). Okazuje się, że pani Litwinowowa jest Angielką z pochodzenia, z rodziny Law, i że jako Ewa Law napisała powieść.

„Panna Law doczekała się wielkiego uznania za swój utwór, nawet zbyt wielkiego, bo te ciągłe pochwały i komplementy tak się jej uprzykrzyły, iż uciekła zagranicę i osiadła we Włoszech, gdzie mieszkała z rodziną słynnego pisarza angielskiego Lawrence'a, autora popularnej powieści „Kochanek pani Chatterlay". Zapewne pod wpływem Lawrence'a napisała ona drugą powieść, którą cenzura angielska zakazała i poleciła zniszczyć".

Kto czytał interesujący szkic *madame* Krzywickiej o Lawrence'ach, ten się zaraz zorjentuje w środowisku. Już jako pani Litwinow napisała Ewa Law „romans detektywny na tle wydarzeń w Rosji". Kiedy poznała swego Wallacha, tenże udzielał lekcji języków obcych, gdyż oczywiście poly-glotta...

Podczas wojny Litwinow był jakiś czas członkiem carskiego komitetu rosyjskiego, zakupującego amunicję dla armji carskiej. Ale musiał ten proceder uprawiać widocznie „z polecenia" i z „wiedzą" Lenina, jak pisze „Opinja", gdyż:

„Nikt z przywódców bolszewickich nigdy Litwinowowi nie robił zarzutu z powodu jego przynależności do carskiego komitetu". (*Sic!*).

Podczas wybuchu rewolucji Litwinow przebywał w Londynie i z.. „carskiego komitetu" zaraz przeszedł Talleyrand z pod Słonima do „nowych panów", jak to czytamy w... „Naszym Przeglądzie":

„Bolszewikom potrzebny był reprezentant w Anglji, a ponieważ Litwinow tam mieszkał, to wybrali go jako swego przedstawiciela".

Raz tylko Maksym Maksymowicz nieco się poślizgnął w karjerze, ale się nie przewrócił:

„W roku 1927 popierał Trockiego, jednak zawczasu się cofnął i uniknął w ten sposób losu, który spotkał innych trockistów".

Poczem już szło wszystko gładko. Litwinow jest przytem znawcą sztuki, literatury, muzyki, nie przymierzając jak francuski minister de Monzie. On to naprzykład urządzał wspaniały raut ku uczczeniu powracającego z Europy, po sześcioleciu szpiegowania, Ehrenburga... On też wraz z rodziną klaska (i mlaska) na koncertach, gdy przyjadą artyści... polscy i wogóle żydowscy.

„Swe wielkie powodzenie ma Litwinow, zdaniem prasy amerykańskiej, do zawdzięczenia zmysłowi kupieckiemu, jaki go cechuje. W czasach, kiedy państwa odczuwają silny kryzys gospodarczy, Litwinow umie ze szczególnym naciskiem podkreślać znaczne korzyści handlowe, jakie dają dobre stosunki z Sowietami. Umie on swemi argumentami trafić do zainteresowanych sfer gospodarczych".

Nie potrzeba dodawać chyba, że pochodząc z rasy polyglobtrotterów, włada biegle wszystkiemi językami. W Londynie dzisiejszym, jak i wszyscy inni nasi, czuje się jak u siebie w domu. Pani Ewa z Lawów bywa też zawsze z mężem. Shylockracja formalnie wyrywa sobie Narkomindieła z Rożan (pod Słonimem), wnuka Sabataja Wałacha a brata Leona, krawca ze San Francisco (nr. 628, IV Avenue).

„Nasz Przegląd" tak jeszcze opowiada swoim czytelnikom o nastrojach i światopoglądzie pani Litwinow w Londynie:

„Przyszła na bal urządzony przez lorda Londonderry. Ogromna sala lśniła blaskiem lamp elektrycznych i brylantów, wykwintne damy flirtowały z wytwornymi dżentelmenami. Ewa Litwinow bawiła się obserwowaniem tego pustego blichtru, uśmiechając się ironicznie na wspomnienie o tem, czem to się wszystko skończyło w Rosji".

„Czem to się wszystko skończyło w Rosji"... Zapamiętajcie...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Redaktor „Słowa" wileńskiego p. Mackiewicz stwierdza z entuzjazmem (nr. 353), że „nam w Polsce nie zabroniono myśleć". Mianowicie obóz BB składa się z ludzi rozmaicie myślących, którym to nic a nic nie przeszkadza, że robią co innego, niż myślą. Gorzej jest w Legjonie Młodych, bo z pośród nich wyjdzie — jak przepowiada p. Mackiewicz — „poważna ilość, która się tak rozpędziła w bolszewickich banałach, że napewno znajdzie się z czasem w więzieniu". Czemuż p. Mackiewicz się martwi? Więzienie też jest instytucją państwową, a młodzi będą tam robić to samo, co wszyscy z BB sanatorzy: będą konsumować na koszt państwa. Zresztą p. M. nie jest konsekwentny, skoro wyżej nieco podkreśla zdanie: „Uważam, że wielkość Marsz. Piłsudskiego polega na tem, że on nie chce, abyśmy wszyscy myśleli jednakowo". O cóż więc chodzi?

TREŚĆ: Nowa ruń *Z. Raczkowskiego.* — Niemieckie prawo chłopskie *K. Stojanowskiego.* — Wzór poezji judeo-polskiej *Z. Wasilewskiego.* — Monografja o Jacku Malczewskim *Wł. Folkierskiego.* — Poselstwo *M. Pawlikowskiego.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Głosy. — Z życia lekarzy polskich *A. W.* — Nauka i literatura. — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Film *Kandyda.* — Muzyka *W. Narusza.* — Zmarli. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.